

LISA MCMANN

KONIEC

Tytuł oryginału *Gone*

Wszystkim, którzy mają w domu kłopoty.

Nie jesteście sami.

Czerwiec 2006

24 czerwca 2006

Czuje, że nie może złapać tchu, nieważne jak bardzo się stara.

Jakby wszystko wokół zaczęło ją przytłaczać, przygniatać. Zagrażać.

Przesłuchanie. Ujawnienie prawdy. Odtworzenie imprezy u Durбина przed sędzią i tymi trzema draniami, którzy nie spuszczaali z niej wzroku. Kamery, które nie opuszczały jej na krok, jak tylko wyszła z sali sądowej. Wydało się, że była tajnym agentem do spraw narkotyków. Całe Fieldridge o tym mówi.

O niej.

Przez kilka tygodni mówią o tym we wszystkich lokalnych wiadomościach. Ludzie plotkują w sklepach, na mieście. Pokazują ją palcem, szepczą, dziwnie na nią patrzą. Czasami podchodzą i zadają pytania. Obcy ludzie, byli koledzy i koleżanki z klasy nachylają się, szepczą, jakby byli jej powiernikami. „Powiedz, co ci tak naprawdę zrobili?”

Janie się do tego nie nadaje - jest typem samotnika. Działa w ukryciu. Nie miała nawet czasu, by pomyśleć o innych sprawach - tych prawdziwych, najważniejszych. O tym, jak zmieniło się jej życie. O tym, co było w zielonym notesie.

O tym, że straci wzrok. I władzę w rękach.

Ciśnienie jest niesamowite.

Dusi się.

Chce tylko uciec.

Ukryć się.

Po prostu być.

Lipiec 2006

Pięć ważnych minut

Siedzi naprzeciwko. Miejsce obok niej jest puste.

- Nic już nie wiem - mówi. - Po prostu nie wiem.

Uciska skronie. Ma nadzieję, że głowa jej nie eksploduje.

- To twoja decyzja - mówi kobieta. To ich tajemnica.

A potem

Wtorek, 1 sierpnia 2006, godzina 7.25

- Nie mogę oddychać - szepcze.

Czuje, jak jego gorące palce dotykają jej żeber i przenikają przez skórę do zamarzniętych płuc. Przytula ją. Całuje. Oddycha za nią. Przez nią.

Pozwala zapomnieć.

Potem mówi:

- Jedziemy. Teraz. Chodź.

Idzie.

Podczas trzygodzinnej podróży Janie mruży oczy i patrzy na swoje rozmazane palce na kolanach. Udaje, że śpi. Nie wie czemu. Chłonie ciszę.

I gdzieś głęboko w środku jednak wie.

Wie, że on

i to, nie rozwiążą jej problemów.

Zaczyna rozumieć, co może jej pomóc.

Pierwszy czwartek

3 sierpnia 2006, godzina 1.15

W tej części stanu nie ma dociekliwych rozmówców. Tutaj, w domku letniskowym Charliego i Megan nad jeziorem Fremont, nikt jej nie zna. Dni upływają spokojnie, ale noce... Noce w maleńkim pokoju są straszne. Sny nie robią sobie wolnego.

Zawsze coś się musi dziać, prawda? Zawsze coś. Janie nigdy nie ma spokoju. Nigdy, przenigdy nie ma spokoju.

To tak jak z samochodem. Lekarz mówił, żeby nie prowadziła. A jednak marzy o tym. Pragnie tego, czego nie może mieć. Nie zadowala ją to, co nieuchwytnie. I kiedy zaczyna się kolejny koszmar, naprawdę o tym myśli.

Godzina 1.23

Janie trzęsie się na kanapie. Obok niej na rozkładanym leżaku leży Cabe. Śpi.

Śni o niej.

Janie przygląda się. Czasami tak robi, gdy jego sny są przyjemne. Gromadzi wspomnienia. Na później. Ale to...

Grają w paintball, gdzieś na dworze, z gromadą anonimowych ludzi. Jak w grze komputerowej. Cabe i Janie omijają przeszkody i strzelają do siebie. Śmieją się, robią uniki, chowają. Cabe zakrada się z tyłu i oddaje w jej kierunku dwa strzały. Dwie czerwone plamy.

Prosto w oczy.

Po policzkach spływa jej czerwona farba, oczodoły są puste.

Nie przestaje do niej strzelać, celuje w ręce i w nogi, aż wszystko pokrywa czerwona farba.

Płacze. Pełen żalu klęka obok niej na ziemi, a potem podnosi ją i sadza na wózku inwalidzkim. Zawozi ją w kierunku opustoszałej części pola i zrzuca na żółtą trawę.

Janie się wycofuje. Wie, że nie powinna marnować snów. Ale nie może się powstrzymać. Nie może odwrócić oczu.

Kiedy odzyskuje wzrok, spogląda na ciemny sufit, a Cabel przewraca się z boku na bok. Zakrywa ręką oczy, próbuje zapomnieć. Od dwóch miesięcy udaje, że nic się nie dzieje. Jakby miała zbyt mało problemów na głowie.

- Proszę, przestań - szepcze. - Proszę.

Godzina 4.23

On znowu śni, a Janie się budzi.

Trzyma się za głowę.

Janie i Cabel są w ogrodzie, siedzą na trawie. Ręce Janie kończą się na łokciach. Oczy ma zaszyte, a z policzków zwisają igły i kawałki nici. Czarne łyzy.

Cabel jest zrozpaczony. Wyciąga z papierowej torby kolbę kukurydzy i obrywa liście. Przyczepia kukurydzę do jej łokcia. Wyciąga z torby dwa kamienie. Duże, brązowe tygrysie oczy. Próbuje wcisnąć je pod zaszyte powieki Janie, ale one nie dają się wepchnąć. Janie przewraca się jak szmaciana lalka. Nie ma się czym podeprzeć. Kukurydza odlepia się od jej łokcia i spada na trawę. Cabel ścisną kamienie w dłoniach.

Janie jest odrętwiała, nie chce dalej patrzeć. Nie próbuje tego zmienić. Bo to sen o niej i o tym, jak Cabel sobie z tym radzi. Nie może nim manipulować. To nie byłoby w porządku. Ma tylko nadzieję, że nigdy nie poprosi jej o pomoc.

Nie chce, żeby tak śnił. Koniec i kropka. Prostuje nogę. Dotyka go. Wszystko robi się czarne.

- Przepraszam - mruczy Cabel. I znowu zapada w sen.

Od jakiegoś czasu tak jest.

Jakby w snach pojawiała się to, czego nie może powiedzieć.

Godzina 9.20

Porusza się i przestaje śnić. Co za ulga. Janie leży na kanapie pogrążona w półśnie. Próbuje wrócić do życia. Do normalności. Przybiera obojętny wyraz twarzy.

Dopóki nie wymyśli, co zrobić.

Z życiem.

Z nim.

Godzina 9.33

Słyszy trzeszczenie leżaka i po chwili czuje, jak Cabel przytula się do niej na kanapie. Sztywnieje. Nabiera powietrza. Cabel wsuwa ciepłe palce pod jej koszulkę i dotyka jej brzucha. Janie uspokaja się i uśmiecha. Ma zamknięte oczy.

- Wpędzisz nas w kłopoty - wzdycha. - Pamiętasz, co mówił twój brat.

- Przecież leżę na kocu, a ty pod nim. Nie mieliby nic przeciwko temu. Poza tym nic nie robię. - Pieści jej skórę, całuje ramiona. Wsuwa palce pod jej spodenki.

- Hej, koleś. - Janie przytrzymuje jego dłoń. - Nic z tego - krzyczy, na wypadek gdyby Charlie i Megan podsłuchiwali. - Nie tutaj - mruczy. - Ty robisz śniadanie, tak?

- Zgadza się. Rozpalam w głowie ogień i smażę bekon na moich mrocznych, pikantnych myślach. I ty myślisz, że masz jakieś wyjątkowe zdolności, panienko?

Janie śmieje się, ale jej śmiech nie brzmi naturalnie.

- Dobrze spałeś?

- Tak. - Cabel drapie ją brodą po ramieniu. - W miarę. O ile można się wyspać na paskach włóknistego plastiku i wbijającym się w tyłek metalowym pręcie. - Muska jej uszy i dodaje:

- Miałem jakieś koszmary? Kiedy o to pytasz, zawsze się denerwuję.

- Ciii - syczy Janie. - Zrób mi śniadanie.

Cabel przez chwilę milczy. W końcu wstaje i wkłada dzinsy.

- Okej.

Godzina 9.58

Robią to, co robi się na wakacjach. Przesiadują z Charliem i Megan, popijają kawę, robią śniadanie przy ognisku. Odpoczywają. Próbują się lepiej poznać.

Janie jest zdenerwowana.

Na wszystko dokładnie zwraca uwagę. Boi się, że mogłaby czegoś nie zauważyć, coś pominąć, zanim będzie za późno.

Naprawdę nie wie, jak zachowywać się na wakacjach.

Poza tym są sprawy, od których nie można uciec.

Ale trzyma się dzielnie. Chociaż w środku jest wykończona.

To były trudne miesiące.

Konfrontacja z doktorkiem, szczęściarzem i dupkiem była trudniejsza, niż sądziła. Musiała na nowo przeżyć wszystkie kłamstwa. Całą intrygę. Napastowanie. Wszystko, co zrobili ci nauczyciele. To było okropne.

Ale to już przeszłość. Szum ustał, chociaż nadal jest ciężko. Trudno wrócić do normalnego życia, nie myśląc o tym, że straci się wzrok i zostanie kaleką. Trudno też mieć matkę alkoholicką. Ciężko myśleć o college'u pełnym śpiących ludzi... I o chłopaku, który dopiero w snach daje upust swym emocjom. Życie w ogóle... Wszystko jest.

Naprawdę.

Cholernie.

Trudne.

Janie i Cabel zmywają naczynia. To znaczy on zmywa, a ona wyciera. To takie przyjemne. Janie mocno trzyma talerze i wyciera je ścierką. Myśli.

Zastanawia się, czy Cabe powie jej o swoim strachu.

I nagle wypala:

- Zastanawiasz się nad tym, jak to będzie? Kiedy stracę wzrok i będę wszystko rozbijać. - Odkłada talerz do szafki.

Cabel pryska na nią wodą. Uśmiecha się.

- Jasne. Myślę nawet, że jestem szczęściarzem. Założę się, że seks niewidomych jest fantastyczny. Mogę nawet zakładać na oczy opaskę, żeby było sprawiedliwie. - Trąca ją lekko biodrem. Janie się nie śmieje. Uspokaja się, chwytając stalową patelnię i zaczyna ją wycierać. Patrzy na swoje rozmazane odbicie.

- Hej - mówi Cabel. Wyciera ręce o szorty i głaszcze ją po policzku. - Tylko żartowałem.

- Wiem. - Janie wzdycha. Odkłada patelnię i rzuca ścierkę na blat. - Chodź. Zróbmy coś fajnego.

Godzina 13.12

Koncentruje się.

Woda jest zimna, ale jej twarz i włosy ogrzewa ciepłe, popołudniowe słońce.

Janie kiwa się w miejscu. Kolana ma zgięte, ramiona wyprostowane, próbuje utrzymać

równowagę. Kamizelka ratunkowa objima się o jej uszy. Umięśnione ramiona sterczą jak dwa patyki. Okulary zostawiła w łodzi, więc wszystko wydaje się rozmazane. Jakby patrzyła przez ścianę deszczu.

Bierze głęboki wdech.

- Dalej! - krzyczy i nagle coś ciągnie ją do przodu. Kolana objijają się o siebie, ręce się trzęsą. Mocniej ściska linę, aż bieleją jej kostki. Od dwóch dni bołą ją mięśnie. Odchył się do tyłu, przypomina sobie. Niech łódź cię pociągnie. Odchyła się.

Próbuje się wyprostować.

Chwieje się i łapie równowagę.

Wie, że tyłek jej wystaje. Ale nic nie może na to poradzić. Ale się tym nie przejmuje. Śmieje się, a woda ochlapuje jej twarz.

Udało się, stoi.

- Hura! - krzyczy.

Megan spokojnie prowadzi, stojąc za sterem małej zielonej motorówki. Obserwuje Janie w lusterku, jak matka, która patrzy na swoje dziecko. Na jej czole widać troskę, ale kiwa głową i się uśmiecha.

Cabe siedzi z tyłu łódki, zwrócony twarzą do Janie. Cały czas się uśmiecha, jak to on. Jego białe zęby lśnią na tle opalanej skóry, a wiatr rozwiewa brązowe włosy z rozjaśnionymi słońcem pasemkami. Na brzuchu i klatce piersiowej lśnią szorstkie blizny po oparzeniach.

Ale dla Janie, oddalonej o jakieś dwadzieścia metrów, oboje wydają się tylko rozmazanymi plamami. Cabel krzyczy coś entuzjastycznie, ale ryk silnika i plusk wody zagłuszają jego słowa.

Jej ręce i nogi drżą z zimna. Wiatr je osusza, a woda ponownie moczy. Czuje, jak skóra pulsuje.

Megan trzyma się blisko porośniętego wierzbami brzegu. Kiedy zbliżają się do plaży miejskiej i pola namiotowego, robi kółko i kieruje łódź w drugą stronę. Janie skupia się przy zakręcie, ale to tylko łagodny skok nad kilwaterem. Kiedy znowu są na prostej, oblizuje usta i zdeterminowana, pokazuje Megan wyciągnięty do góry kciuk.

Szybciej.

Megan przyspiesza i rusza w stronę przystani położonej obok małego czerwono - brązowego domku, jednego z sześciu budynków znajdujących się w ośrodku wypoczynkowym Rustic Logs. Płynie dalej. Na nowe terytoria.

Jestem do niczego, myśli Janie. Mruży oczy i, słysząc doping z łodzi, próbuje pokonać kolejny kilwater. Udaje się.

Zanim Janie orientuje się co się dzieje, jest już za późno.

Jakaś kobieta opala się na trampolinie. Jej skóra lśni od olejku i potu. Janie nie wie, gdzie się znajduje, ale doskonale rozpoznaje sygnały ostrzegawcze. Czuje, jak kurczy jej się żołądek.

Przelatuje obok kobiety i ogarnia ją ciemność. Trzysekundowy sen i już jest po wszystkim. Jest poza zasięgiem. Ale to wystarcza, by straciła równowagę. Kolana się pod nią uginają, narty płaczą i robi fikołka do przodu. Woda wlewa się do gardła i nosa. Ma wrażenie, że zalewa jej mózg. Jedna z nart uderza ją w głowę i wypycha z powrotem pod wodę. Nie zwalnia.

Jeśli spadniesz, puść linę, przypomina sobie.

Jasne.

Janie wypływa na powierzchnię. Kaszle i wypływa wodę. Głowa pulsuje. Nie może uwierzyć, że wciąż ma na sobie za dużą kamizelkę ratunkową. Wypiła chyba połowę wody z jeziora i robi jej się niedobrze. Przeciera piekące oczy i próbuje przeniknąć wzrokiem rozmazany obraz. Jest zdezorientowana. Żałuje, że nie założyła okularów. Uszy ma zatkane. Kiedy wodorosty zaczynają łaskotać ją w stopy, wzdyga się z obrzydzeniem i próbuje nie myśleć o wielkich, żółtopomarańczowych karpkach... I ich odchodach.

Fuj. Wcale mi się to nie podoba, myśli.

W oddali słychać warkot łódek.

Ale chyba żadna nie płynie jej na ratunek.

W końcu słyszy przytłumiony warkot silnika. Kiedy milknie, Janie krzyczy:

- Cabe?

To wciąż jest jedyne imię, które wydaje jej się bezpieczne.

Godzina 13.29

W łodzi Cabel okrywa ją dużym ręcznikiem. Podaje okulary.

- Na pewno wszystko w porządku? - Mruży oczy i próbuje powstrzymać się od śmiechu.

- Tak - jęczy Janie, dzwoniąc zębami. Megan sprawdza guza, którego Janie ma na

głowie, i wciąga linę holowniczą.

Cabel chrząka i zaciska usta.

- Dałaś dziś niezły popis, Hannagan.

- Masz czelność się ze mnie śmiać? - Janie wyciera włosy. - O mały włos nie umarłam. Poza tym mój umysł jest teraz zainfekowany planktonem i rybim gównem, więc lepiej uważaj, bo zaraz czymś w ciebie strzełę.

- Ja... To obrzydliwe. - Cabel się śmieje. - Ale poważnie, żałuj, że siebie nie widziałaś. Prawda Megan? Kurczę, szkoda że nie wzięliśmy kamery.

- Bez dwóch zdań - mówi Megan. Odpala silnik i zawraca w stronę przystani.

Po raz drugi tego dnia Janie wcale nie chce się śmiać.

Cabel mówi dalej, przekrzykując warkot silnika.

- Ten fikołek był niezły, ale potem wszystko wymknęło ci się spod kontroli. Nogi fruwały w powietrzu. Pamiętasz, jak brzmi zasada numer jeden w nartach wodnych?

- Tak. Chryste. Kiedy spadniesz, puść linę. Wiem o tym. Ale trudno to pojąć, gdy się jest w samym środku.

Cabel prycha.

- Tak, cholernie tego dużo. - Długo się śmieje, wyciera oczy i próbuje się opanować. - Ale czy zasada „puść linę, gdy zaczynasz tonąć” nie powinna zadziałać automatycznie? Czyż to nie podstawowa technika przetrwania?

Janie przeszywa go wzrokiem.

Cabel przestaje się śmiać i patrzy na nią niewinnie.

- No dobra. Przepraszam - mówi.

- Odwal się - syczy Janie. Odwraca się i mruży oczy. Dostrzega śpiącą na trampolinie kobietę, która teraz wydaje się jedynie maleńką wysepką. Cały czas nic nie rozumiesz? Myśli.

I pewnie nigdy nie zrozumie.

- Daj spokój, Hannagan. - Janie mruczy pod nosem. - Jesteś na wakacjach. Masz odpoczywać i dobrze się bawić. - Mówi bez przekonania.

- Co tam zrzędzisz, kochanie? - Cabel siada obok niej na ławce.

- Pewnie mieliście niezły ubaw, co? - Janie wbija wzrok w chłopaka.

Cabel wyciera jej z brody kroplę wody. Uśmiecha się. Dotyka swoich ust i oblizuje palec.

- Mhm - mówi i całuje ją delikatnie w szyję. - Rybie gówno.

Godzina 13.53

Cabe zasypia na kocu w cieniu dębu.

Janie siada, opiera brodę na kolanach i patrzy na palce u stóp. Wsłuchuje się w rytm fal bijących o brzeg. Po chwili wstaje.

- Idę się przejść - szepcze. Cabel się nie rusza.

Wkłada na kostium bluzkę, wsuwa klapki i bierze komórkę. Obchodzi domek, mija parking i wychodzi na główną drogę. Po przeciwnej stronie szosy widać pole i tory kolejowe, które lśnią w popołudniowym słońcu. Janie idzie po torach pogrążona w myślach. Jest zadowolona, że wokół niej panuje cisza. W końcu nie słyszy cudzych snów.

Po chwili się zatrzymuje. Siada na torach. Czuje pod udami rozgrzany metal. Wyciąga telefon i wybiera dwójkę.

- Janie, co się dzieje? Wszystko w porządku?

Janie odgania ręką pszczołę.

- Cześć. Tak. Wiesz, dużo myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy. Na wakacjach ma się dużo czasu. - Śmieje się nerwowo.

- I?

- I... Na pewno nie będziesz mieć nic przeciwko mojej decyzji?

- Oczywiście. Wiesz o tym. Podjęłaś już decyzję?

- Niezupełnie. Wciąż się zastanawiam.

- Rozmawiałaś już z Cabe'em?

Janie się krzywi.

- Nie, jeszcze nie.

- Cóż, nie dziwię się. Chcesz dokładnie rozważyć wszystkie możliwości.

Janie czuje, że coś ściska ją w gardle.

- Dziękuję.

- Wiesz, jaka jest procedura. Możesz do mnie zadzwonić o każdej porze. Daj mi znać, na co się zdecydowałaś.

- Tak zrobię. - Janie zamyka klapkę i gapi się na telefon.

Nie ma już nic do dodania.

W drodze powrotnej podnosi z torów spłaszczoną monetę i zastanawia się, czy zostawił ją któryś z urlopowiczów. Może wróci po nią jakiś podekscytowany dzieciak. Kładzie monetę na torach, tak że łatwo ją zauważyć.

Powoli wraca do domku kempingowego, żeby zostawić rzeczy. A potem wychodzi na zewnątrz i wraca pod drzewo.

Patrzy, jak Cabel śpi. Później sama zapada w drzemkę, usiłując ominąć sny chłopaka i małego dziecka, które leży w domku obok.

Nawet tutaj nie może od tego uciec.

Nie ma dla niej ucieczki.

Godzina 17.49

Słychać gwizd przejeżdżającego obok pociągu. Każdy, kto spał, budzi się.

- Kolejny ciężki dzień nad jeziorem - mruczy Cabe. - Burczy mi w brzuchu.

Przekręca się na kocu. Janie nie może się oprzeć. Przytula się do jego ciepłego ciała.

- Właśnie słyszę - mówi. - Wyczuwam zapach grilla.

- Powinniśmy już wstać.

- Wiem.

Nie ruszają się. Janie kładzie głowę na jego klatce piersiowej. Znad jeziora wieje przyjemny wiatr. Zamyka oczy i mocno go przytula, wdychając jego zapach i czując na policzku ciepło jego ciała. Kocha go.

I znowu coś w niej pęka.

Godzina 18.25

Janie słyszy, jak otwierają się drzwi od domku. Po chwili podchodzi do nich Megan i Janie podnosi się z miną winowajczyni.

- Przepraszam bardzo, Megan, powinniśmy ci pomóc z obiadem.

- Daj spokój - uśmiecha się Megan. - Po tym, co dziś przeżyłaś, potrzebowałaś drzemki. Ale twój telefon cały czas dzwoni. Nie wiem, co z nim zrobić.

- Dzięki. Zaraz to sprawdzę.

Cabe też siada.

- Wszystko w porządku? Gdzie jest Charlie?

- Pojechał do miasta po zakupy. Wszystko w porządku, uspokój się - prosi Megan. - Mówię poważnie. Oboje dużo przeszliście, należy wam się odpocząć.

Cabe posłusznie kładzie się z powrotem na kocu, a Janie wstaje.

- Zaraz wracam - mówi. - Mam nadzieję, że to nie Kapitan z kolejnym zadaniem, bo naprawdę zrezygnuję.

- Akurat. - Śmieje się Cabe.

Godzina 18.29

Poczta głosowa.

To Carrie. Pięć wiadomości.

Wszystkie złe.

Janie słucha z niedowierzaniem. Zdumiona, słucha jeszcze raz.

- Hej Janers. Gdzie do diabła jesteś? Zadzwoń do mnie. Klik.

- Janie, mówię poważnie. Coś się dzieje z twoją matką. Zadzwoń do mnie. Klik.

- Janie, poważnie! Twoja matka łązi po ogrodzie i woła cię. Nie powiedziałaś jej, że jedziesz do Fremont? Jest kompletnie pijana, Janie, wyje i... O kurczę. Wyszła na ulicę. Klik.

- Słuchaj, zabieram ją do szpitala. Jak mi zwymiotuje w Ethel, nie żyjesz. Chryste. Co to? Bateria w telefonie mi wysiada! Dzwoni lepiej do szpitala albo gdzieś... Nie wiem, co jeszcze mam ci powiedzieć. Spróbuję później zadzwonić, jak tylko będę mogła. Klik.

- Boże. - Janie gapi się na telefon niewidzącym wzrokiem. Dzwoni do Carrie.

Włącza się poczta głosowa.

- Carrie! Co się stało? Mam już przy sobie telefon. Przepraszam, zdrzemnęłam się. -
Gdy wypowiada to na głos, czuje, że jej słowa brzmią głupio. Beztrosko. Nawet niepoważnie.
O czym ja, do diabła, myślałam, zostawiając matkę na tydzień samą? - Boże. Zadzwoń do mnie.

Janie stoi w miejscu, jakby uszło z niej całe powietrze, a zastąpił je strach. A jeśli stało się coś naprawdę złego? Myśli.

Potem czuje złość.

Dopóki ta kobieta żyje, nie będę miała własnego życia.

Zamyka oczy i natychmiast to odwołuje.

Nie może uwierzyć, że jest aż tak okrutna.

Charlie wchodzi do maleńkiej kuchni z torbą pełną zakupów, ale widząc wyraz twarzy Janie, staje w miejscu.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Janie mruga niepewnie.

- Nie, chyba nie - mówi cicho. - Chyba, muszę... wyjechać.

Charlie stawia torbę z zakupami na szafce.

- Cabe! - Krzyczy przez drzwi. - Chodź tutaj.

Janie odkłada telefon i wyciąga z szafy walizkę. Zaczyna wrzucać do niej rzeczy. Patrzy w lustro na swoje odbicie i przejeżdża ręką po splecionych ciemnoblonde włosach.

- Boże - mówi do siebie. - Co się stało z moją matką?

A potem to do niej dociera.

A jeśli matka naprawdę umiera? Albo już umarła?

To ją fascynuje, ale też i przeraża. Wyobraża sobie tę scenę.

- O co chodzi? - pyta Cabel, wchodząc do środka. - Co się dzieje?

- Masz. - Janie wstukuje numer poczty głosowej i podaje mu telefon. - Posłuchaj.

Cabel słucha, a Janie nie przestaje się pakować.

Kiedy już wszystkie rzeczy są w środku, zdaje sobie sprawę, że musi się przebrać. Nie może jechać do Fieldridge w kostiumie kąpielowym.

Wcale nie może jechać.

Taki drobny szczegół.

- Do diabła - mruczy pod nosem. Obserwuje Cabela, który słucha wiadomości. Patrzy na wyraz jego twarzy.

- Jasna cholera - mówi Cabel. Spogląda na Janie. - Jak mogę ci pomóc?

Janie kryje twarz na jego szerokiej piersi. Próbuje nie myśleć.

Bez końca.

Godzina 19.03

Czeka ich trzygodzinna podróż do domu. Cabel siedzi za kierownicą beemera, który pożyczyła mu Kapitan Komisky. W radiu DJ opowiada stary dowcip i puszcza *Bleecker Street* Danny'ego Reyesa. Janie gapi się na telefon, jakby chciała zmusić Carrie, by do niej zadzwoniła. Ale telefon milczy.

Janie dzwoni do szpitala. Nie mają nikogo o nazwisku Dorothea Hannagan.

- Może poczuła się lepiej i wróciła do domu - mówi Cabel.

- A może jest już w kostnicy.

- Na pewno by do ciebie zadzwonili.

Janie nic nie mówi. Zastanawia się, dlaczego nikt nie dzwoni ze szpitala.

- Możemy zadzwonić do Kapitana - proponuje Cabel.

- Po co?

- A po co dzwoni się do szefa policji? Ona wydobędzie informacje od każdego.

- To całkowita prawda. Ale... - Janie wzdycha. - Nie chcę... Moja matka... Nieważne.

Nie chcę do niej dzwonić.

- Dlaczego? Przynajmniej będziesz spokojna.

- Cabel...

- Janie, mówię poważnie. Powinnaś do niej zadzwonić, czegoś się dowiedzieć. Nie bój się, nie będziesz się narzucać. Ona ci pomoże.

- Nie, dziękuję.

- Chcesz, żebym ja do niej zadzwonił? - Nie. Okej? Nie chcę, żeby o tym wiedziała.

Cabel wzdycha, jest poirytowany.

- Nie rozumiem.

Janie zaciska zęby. Wygląda przez okno. Czuje, jak płoną jej policzki, czuje piekące łzy. Co za wstyd. Mówi cicho:

- Wstydzę się, nie rozumiesz? Moja matka jest pieprzoną alkoholiczką. Łazi po ogrodzie i wrzeszczy? Boże. Nie chcę, żeby Kapitan o tym wiedziała. O tej części mojego życia. To są moje prywatne sprawy. Są rzeczy, o których z nią rozmawiam, i takie, które są zbyt osobiste. Daj już spokój.

Cabel milczy. Po kilku minutach słuchania radia włącza swojego iPod'a. Rozlega się *Feels Like Rain* Josha Schickersa. Kiedy piosenka się kończy i zaczyna następna, sztywnieje i szybko ją wyłącza. Wie, co jest dalej. *Good mothers, don't leave!*

Mija kolejna godzina. Jadą w kierunku Michigan, zostawiając za sobą pomarańczowy zachód słońca. Nie ma dużego ruchu. Janie opiera głowę o szybę i przygląda się ciemnozielonym trawom i żółtym polom. Robi się ciemno, w oddali widzi sarnę. A może to tylko ten wypalony pień, na który nabiera się za każdym razem.

Zastanawia się, ile razy będzie jeszcze oglądać podobne widoki. Próbuje wszystko zapamiętać, na później. Kiedy zostaną jej tylko ciemność i sny.

Znowu dzwoni do szpitala. Nadal nie mają żadnej osoby o nazwisku Dorothea Hannagan. To dobry znak, myśli Janie... Tylko że Carrie wciąż nie daje znaku życia.

- Gdzie ona jest? - Janie uderza głową o twarde zagłówek.

Cabel zerka na nią.

- Carrie? A nie mówiła, że telefon jej pada?

- Tak, ale są przecież inne telefony...

Cabel stuka palcami o brodę.

- Zna twój numer czy ma go w komórce?

- Aha. Masz rację.

- Dlatego jeszcze nie zadzwoniła. Nie zna twojego numeru, ma go w telefonie i nie może się do niego dostać.

Janie się uśmiecha. Wypuszcza powietrze.

- Tak... Pewnie masz rację.

- A próbowałaś zadzwonić do domu, żeby sprawdzić, czy twoja matka tam jest?

- Tak. Nie odbiera.

- A dzwoniłaś do Stu? Albo do Carrie do domu?

- Dzwoniłam pod jej domowy numer, ale nie odbiera. Nie mam numeru do Stu. Powinnam go mieć. Zawsze miałam zamiar...

- A do Melindy?

- Tak, jasne. - Janie prychnęła. - Tylko tego brakuje, żeby wszyscy w Hill zaczęli o tym gadać. - Odwraca się do okna. - Przepraszam, że byłam niemila. Wtedy... Wcześniej.

Cabel uśmiecha się w ciemności.

- Nie ma sprawy. - Bierze ją za rękę. Wplata palce w jej dłoń. - Nie pomyślałem. - Krótka chwila wahania.

- Posłuchaj, nikt cię nie obwinia za to, co robi twoja matka.

- Nikt? - Janie marszczy brwi. - Jasne. Każdy ma własne zdanie na temat sprawy Durbina.

- Nikt, kto się liczy.

Janie przechyla głowę.

- Wiesz co, Cabe? A może to, co myślą sąsiedzi i całe miasteczko Fieldridge... Może to ma dla mnie znaczenie? To znaczy... Boże. Zapomnij o tym. Mam już tego wszystkiego dość. Chryste, co dalej?

Po chwili wahania Cabel mówi:

- To co, jedziemy prosto do szpitala?

- Chyba tak. To najlepsze, co możemy zrobić. Może matka tam siedzi i czeka na ostrym dyżurze. Najpierw tam sprawdzimy, co?

- Jasne.

Godzina 21.57

Janie i Cabel są na ostrym dyżurze, nie bardzo wiedzą, co robić. Wśród chorych i rannych nie ma ani Carrie, ani matki Janie. W rejestracji też nic nie wiedzą.

Cabel stuka palcami w usta. Myśli.

- Czy Hannagan to nazwisko po mężu?

Janie zaciska mocno oczy i wzdycha.

- Nie. - Nigdy nie mówiła mu zbyt wiele o matce, a on nie pytał. I to jej odpowiadało.

Aż do teraz.

- No więc...? - zaczyna Cabel. - Jak by to powiedzieć? OK. Czy twoja matka nosiła kiedyś jakieś inne nazwisko?

- Nie. Nazywa się Dorothea Hannagan i nigdy nie nazywała się inaczej. Jestem po prostu bękartem, w porządku?

- Janie, a kogo to obchodzi?

- Cóż, mnie. Ty przynajmniej wiesz, kim byli twoi rodzice.

Cabel patrzy na nią.

- Niewiele mi z tego przyszło.

- O rany, Cabe. - Janie się krzywi. - Przepraszam. Jestem zdenerwowana, nie wiem co mówię.

Cabel patrzy na nią tak, jakby chciał coś dodać, ale powstrzymuje się. Rozgląda się bez celu wokół.

- Chodźmy. - Chwyta ją za rękę. - Idziemy do windy. Rozejrzemy się, sprawdzimy poczekalnię. Góra dziesięć minut i jeżeli nie znajdziemy Carrie, wracamy do domu i czekamy. Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić.

Janie czuje, jak przeszywa ją dreszcz. Jej matka, alkoholiczka, zaginęła.

Godzina 22.02

Poczekalnia na trzecim piętrze.

OIOM.

Łokcie oparte na kolanach, twarz ukryta w dłoniach, palce zaplątane w długie ciemne włosy. Pochyla się do przodu. Jakby w każdej chwili chciała skoczyć na równe nogi i uciec.

- Carrie! - krzyczy Janie.

Dziewczyna podskakuje.

- Jak dobrze, przeczytałaś moją wiadomość.

- Gdzie... jest moja matka?

- Jest z nim w pokoju.

- Co? Z kim?

- Nie przeczytałaś mojej kartki?

- Jakiej kartki? Odsłuchałam wiadomości na poczcie głosowej.

- Zostawiłam ci kartkę w Ethel, na parkingu. Pomyślałam, że skoro teraz jesteś detektywem czy kimś takim... Myślałam, że zajrzysz do mojego samochodu. Nieważne. Jak mnie w takim razie znalazłaś? Wszystko jedno. Twojej mamie nic nie jest. To znaczy wciąż jest pijana, ale chyba zaczyna trzeźwieć. Cały czas płacze i się trzęsie. Ale...

- Carrie - mówi twardo Janie. - Skup się. Co się dzieje z moją matką i gdzie ona jest?

Carrie wzdycha. Wygląda na zmęczoną.

- Nic jej nie jest. Jest po prostu pijana.

Janie nerwowo zerka na korytarz, przez który przechodzi pielęgniarka. Mówi cichym, bardzo spiętym głosem:

- Dobra, rozumiem, że jest pijana. Zawsze jest pijana. Możesz już nie krzyżeć? Jeżeli nic jej nie jest, to co my tu wszyscy robimy?

- O rany - mówi Carrie. Potrząsa głową. - Od czego mam zacząć?

Cabel prowadzi je w stronę krzeseł i cała trójka siada.

- Z kim ona jest? - pyta łagodnie.

Janie kiwa głową i powtarza pytanie.

Ale już wie.

Może chodzić tylko o jednego człowieka. Nikt inny nie spowodowałby takiej reakcji u jej matki. Nikt inny nie pojawia się w jej snach.

Carrie patrzy na Janie. Jej rozbiegane oczy wyglądają na zmęczone.

- To chyba twój ojciec, Janers. Jest naprawdę bardzo chory.

Janie patrzy na Carrie.

- Mój ojciec?

- Mówią, że z tego nie wyjdzie.

Godzina 22.06

Janie opada na krzesło. Jest odrętwiała. Nie ma pojęcia, co powinna czuć. Żadnego. Pojęcia.

Cabel unosi do góry rękę i przerywa rozmowę. Przez chwilę cała trójka siedzi w milczeniu. Janie ma pusty wyraz twarzy. Carrie żuje gumę, a Cabel zamknął oczy i lekko potrząsa głową.

- Zaczynij od początku - proponuje.

Carrie kiwa głową. Myśli.

- No więc tak, po południu usłyszałam na ulicy jakieś wrzaski. Olałam je, bo u nas zawsze ktoś się wydziera, no nie? Składałam dalej pranie i nagle patrzę przez okno i widzę matkę Janie. Pomyślałam sobie, że to dziwne, bo ona nigdy nie wychodzi, chyba że idzie na stację po alkohol, no nie? Ale widzę, że biega po ogrodzie w samej koszuli nocnej...

Janie oblewa się rumieńcem i zakrywa twarz.

- Boże - mówi.

- I wola: „Janie! Janie!” Potem potyka się, a ja biegnę zobaczyć, co się stało. Dorothea płacze i w kółko mówi: „Telefon! Muszę jechać do szpitala”. Jakies dwadzieścia razy. Więc zadzwoniłam do ciebie i zostawiłam ci te wszystkie wiadomości. W końcu zawiozłam ją do szpitala, bo nie wiedziałam, co mam robić. Jakąś godzinę spędziłyśmy na ostrym dyżurze, rozmawiając z pielęgniarką, wreszcie Dorothea się uspokoiła i wytłumaczyła, że nie jest chora. Ktoś do niej zadzwonił i musi zobaczyć się z Henrym.

Janie patrzy na nią.

- Henrym?

- Tak. Henry Feingold. Tak się nazywa ten gość.

- Henry Feingold - powtarza Janie. Nazwisko brzmi obco. Nic jej nie mówi. Inaczej wyobrażała sobie imię i nazwisko ojca. - Skąd miałabym wiedzieć, że to on? Dorothea - akcentuje każdą sylabę - nigdy mi o nim nie mówiła.

Carrie kiwa głową. Ona wie.

Po chwili.

Janie zaczyna rozumieć i powstrzymuje łzy.

- Musi mieszkać w pobliżu, skoro go tu przywieźli. Najwyraźniej nigdy nie chciał mnie poznać.

- Tak mi przykro, skarbie. - Carrie wbija wzrok w podłogę.

Janie gwałtownie wstaje i patrzy na Cabela i Carrie.

- Nie mogę uwierzyć, że zepsuła nam wakacje. Bardzo mi przykro, że zmarnowałam cały dzień i wieczór. Jesteś prawdziwą przyjaciółką, a teraz idź już do domu czy do Stu, czy gdziekolwiek chcesz.

Odwraca się do Cabela.

- Cabe, dam sobie radę. Zabiorę matkę i pojedziemy do domu autobusem. Proszę was. Idźcie już, odpocznijcie. - Kieruje się w stronę drzwi, w nadziei, że pójda za nią i będzie mogła wypchnąć ich na zewnątrz, by w samotności uporać się ze swoim wstydem. Usta jej drżą. Boże, to wszystko jest tak popieprzone.

Cabel wstaje. Carrie również.

- Więc - zaczyna Cabel, gdy idą za Janie. - Co mu jest? Wiesz coś?

- Uraz mózgu czy coś takiego. Nie wiem za dużo. Słyszałam, jak lekarz mówił, że facet zadzwonił pod 911 i dopóki go tu nie przywieźli, był przytomny. Ale teraz jest w śpiączce. Jakies pół godziny temu pozwolili jej wejść. Posłuchaj Janers - mówi Carrie. - To żaden problem. Gdyby moja matka potrzebowała pomocy, zrobiłabyś to samo, prawda?

Janie czuje, że coś ściska ją w gardle. Mruga, by powstrzymać łzy. Może kiwać tylko głową. Carrie przytula ją, a Janie próbuje zdławić płacz.

- Dzięki - szepcze jej do ucha.

Carrie odwraca się do wyjścia.

- Zadzwoń do mnie.

Janie kiwa głową i patrzy, jak przyjaciółka kieruje się do windy. Potem spogląda na Cabela.

- Idź - mówi.

- Nie.

Janie wzdycha. To super, że jest taki kochany, ale cała ta sytuacja jest cholernie dziwna. I nie ma pojęcia, czego może się spodziewać.

Czasami łatwiej jest zrobić coś samemu.

Wokół panuje cisza, światła są przygaszone. Janie i Cabel otwierają podwójne drzwi i wchodzą na korytarz OIOM - u. Janie czuje zapowiedź czyjś snu, ale natychmiast z tym walczy. Mija salę winowajcy i przeklina go w duchu. Jest wściekła, że nie potrafi uciec od cudzych majaków sennych, nawet wtedy, gdy jej umysł zajęty jest czymś innym.

Podchodzą do stolika pielęgniarek. Janie chrząka delikatnie.

- Henry, eh, Fein... stei...

- Feingold - podpowiada Cabel.

- Jesteście z rodziny? - pyta pielęgniarza, patrząc na nich podejrzliwym wzrokiem.

- Ja, eee... - zaczyna Janie. - Tak. Zdaje się, że to mój ojciec...

Pielęgniarza przechyla głowę.

- Żeby wejść do pokoju chorego, trzeba przynajmniej kłamać w sposób przekonujący - mówi. - Nic z tego.

- Nie zamierzam nigdzie wchodzić. Proszę tylko powiedzieć mojej matce, że jestem, dobrze? Ona jest teraz z nim. Będę w poczekalni. - Janie odwraca się na pięcie.

Cabel wzrusza ramionami i idzie za nią. Przechodzą przez podwójne drzwi i wracają do poczekalni. Pielęgniarka patrzy na nich zdziwionym wzrokiem. Janie mruczy coś pod nosem i opada na krzesło.

- Feingold. Harvey Feingold.

Cabe zerka na nią.

- Henry.

- Jasne. Kurczę. Kto by pomyślał, że pracuję dla gliniarzy.

- Dlatego jesteś tak dobrym tajniakiem. - Cabel się uśmiecha.

Janie automatycznie trąca go łokciem.

- Już nie. Nie zapominaj, że rozmawiasz z agentem do spraw narkotyków. - Odwraca się w jego stronę i chwyta go za rękę. Błaga. - Cabe, powinieneś już iść. Prześpij się. Wracaj do Fremont i ciesz się resztą tygodnia. Nic mi nie jest. Poradzę sobie.

Cabel patrzy na Janie i wzdycha.

- Wiem, że sobie poradzisz, Janie. Jesteś pieprzoną męczennicą. To robi się nudne. Za każdym razem, gdy wpadasz w tarapaty, mówisz to samo. Opuść sobie, nigdzie nie idę. - Uśmiecha się dyplomatycznie.

Szczęka jej opada.

- Męczennicą!

- Tak jakby.

- Proszę cię. Nie można być tak jakby męczennikiem. Albo się nim jest, albo nie. To coś zupełnie wyjątkowego.

Cabel śmieje się, a w kąciakach jego oczu pojawiają się drobne zmarszczki. A potem przygląda się jej z tym krzywym uśmiechem na twarzy, który Janie pamięta jeszcze z czasów, gdy jeździł na deskorolce.

Ale w tej chwili nie jest jej do śmiechu.

- A jeśli chodzi o tę małą przygodę - zaczyna - to naprawdę okropne, Cabe. Potwornie mi wstyd. Ale mam teraz wiele na głowie. I nie mogę znieść tego, że jesteś dla mnie taki miły. Nie chcę marnować twojego czasu. Wystarczy, że marnuję swój. Naprawdę, proszę cię. Lepiej bym się czuła, gdybyś, no wiesz... - Patrzy na niego bezradnie.

Cabel mruga.

Marszczy czoło i odwzajemnia jej spojrzenie.

- Aha - mówi. - Naprawdę chcesz, żebym sobie poszedł. Wstydzisz się, bo o wszystkim wiem?

Janie patrzy w podłogę. To jej odpowiedź.

- Och. - Cabel ostrożnie dobiera słowa. Jest zaskoczony. - Przepraszam, Janers. Nie załapałem. Szybko wstaje i podchodzi do drzwi. Janie idzie za nim na korytarz prowadzący do windy.

- No to... do zobaczenia - rzuca Cabel. - Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła.

- Zadzwonię. - Janie patrzy na olbrzymi napis na ścianie: „Prosimy o wyłączenie telefonów komórkowych”. - Napiszę SMS. Wolę się z tym uporać sama, okej? Kocham cię.

- Jasne. Też cię kocham. - Cabel kiwa się w miejscu i niepewnie macha ręką na pożegnanie. Zerka na nią przez ramię. - Pamiętasz, że autobusy nie jeżdżą między drugą a piątą rano?

Janie się uśmiecha.

- Pamiętam.

- Nie daj się wciągnąć w żaden sen.

- Dobra. Cicho - mówi Janie. Ma nadzieję, że nikt nie słyszał.

Zanim Cabel zdąży cokolwiek dodać, Janie wślizguje się z powrotem do poczekalni, żeby posiedzieć i pomyśleć.

W samotności.

Godzina 1.12

Drzemie na krześle w poczekalni.

Nagle czuje na sobie czyjś wzrok. Siada prosto, w pełni rozbudzona.

Matka przynajmniej ma na sobie jakieś ciuchy, a nie nocną koszulę, o której wspominała Carrie.

- Cześć - mówi Janie. Wstaje i podchodzi do matki. Zatrzymuje się. Dziwnie się czuje i nie bardzo wie, co zrobić. Powinna ją uściskać? Tak jak to robią w telewizji. To wszystko jest bardzo dziwne.

Dorothea Hannagan jest spocona i się trzęsie. Janie nie chce jej dotykać. Cała ta sytuacja jest dla niej obca, jakby z innego świata.

A potem.

Szaleństwo.

- Gdzie byłaś? - Matka Janie załamuje się i zaczyna płakać. Wrzeszczy na cały głos. - Nigdy nie mówisz, gdzie jesteś, po prostu znikasz. Ta dziwna dziewczyna, która mieszka obok, musiała mnie tu przywieźć... - Ręce jej drżą. Patrzy rozbieganym, oskarżycielskim wzrokiem to na podłogę, to na Janie. - Już cię nie obchodzę. Latasz tylko za tym chłopakiem.

Janie robi krok do tyłu. Jest zdumiona, nie tyle potokiem słów, które wypływają z ust matki, co jej tonem.

- O Boże.

- Nie waż się pyskować. - Dorothea otwiera starą torebkę i zaczyna w niej szperać, wyrzucając na krzesło chusteczki i papierki. Nagle zdaje sobie sprawę, że nie znajdzie tego, czego szuka. Poddaje się i opada na krzesło.

Janie stoi obok. Przygląda się.

Jest roztrzęsiona.

Zastanawia się, co powinna zrobić. I dlaczego. Mało mam na głowie? Pyta niewiadomo kogo. Może Boga. Sama nie wie. Ale jednego jest pewna. Nie może się doczekać, żeby wreszcie wydostać się z tego bagna.

Janie podnosi z podłogi porzucane rzeczy, wpycha je do torebki i bierze matkę pod rękę.

- Chodź. Masz coś w domu, tak?

Podnosi Dorotheę na nogi.

- Powiedziałaś chodź. Musimy złapać autobus.

- A co z twoim samochodem? - pyta. - Ta dziewczyna nim jechała.

Janie mruga i patrzy na matkę, ciągnąc ją do windy.

- Tak, mamo. Sprzedałam go parę miesięcy temu, nie pamiętasz?

- Nigdy nic mi nie mówisz...

- Po prostu... - Janie czuje, że zaraz wybuchnie. Przecież ciągle jesteś pijana, myśli. Bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze. - Chodź już. Tylko nie zrób mi wstydu.

- Ty też nie.

- Jak sobie chcesz.

Janie zerka przez ramię i patrzy na korytarz. Gdzieś tam leży jej ojciec. Żywy albo martwy. Janie nie wie.

I wcale ją to nie obchodzi.

Ma tylko nadzieję, że szybko umrze i nie będzie musiała o nim myśleć. Bo rodzice to same kłopoty.

Godzina 2.10

Przez całą drogę do domu Dorothea wierci się, jakby była narkomanką. Janie broni się zaciekle przed snem jakiegoś bezdomnego pasażera. Na szczęście podróż trwa krótko.

Kiedy docierają do domu, dziewczyna dostrzega na schodach swoją walizkę.

- Do diabła, Cabel - mruczy pod nosem. - Dlaczego ty zawsze musisz o wszystkim pomyśleć?

Matka idzie zygzakiem do kuchni, wyciąga spod zlewu butelkę wódki i bez słowa znika w swojej sypialni. Janie jej nie zatrzymuje. Jutro będzie miała dużo czasu, żeby dowiedzieć się, o co chodzi z tym gościem o imieniu Henry. Kiedy Dorothea będzie już wystarczająco wstawiona, ale też przytomna.

Janie wysyła Cabelowi wiadomość.

Jestem w domu.

Pomimo późnej pory, Cabel od razu odpowiada.

Dzięki, kotku. Kocham. Zobaczymy się jutro?

Janie wyłącza komórkę.

- Właśnie, jeszcze to... - szepcze. Wzdycha i kładzie telefon na szafce, obok stawia walizkę i rzuca się na łóżko.

Godzina 4.24

Janie śni.

Cała podłoga w jej pokoju pokryta jest kamieniami, a na łóżku leży walizka. Na każdym kamieniu jest jakiś napis. Janie może go odczytać dopiero wtedy, gdy weźmie kamień do ręki.

Podnosi jeden do góry. „Pomóż mi”. Na drugim „Cabel”.

„Dorothea. Kaleka. Sekret. Ślepa”.

Kiedy odkłada je z powrotem, powiększają się i stają się cięższe. Wie, że niedługo na podłodze zabraknie miejsca, ale nie może przestać ich czytać. I tak się dzieje. Janie nie może oddychać. To one wysysają z pokoju całe powietrze.

W końcu wkłada jeden z kamieni do walizki. A ten kurczy się do rozmiarów małego kamyczka.

Powoli, metodycznie, podnosi wszystkie i wkłada je do walizki. Ma wrażenie, że nigdy nie skończy. W końcu podnosi ostatni. IZOLACJA. Kładzie go obok pozostałych. Kamień robi się malutki, a wszystkie inne znikają.

Janie gapi się na walizkę. Wie, co powinna zrobić.

Zamyka walizkę.

Podnosi ją.

I wychodzi.

Piątek

4 sierpnia 2006, godzina 9.15

Janie leży na łóżku, gapiąc się w sufit. Rozmyśla o wszystkim. O tej nowej sprawie też. O zielonym notesie, przesłuchaniu, plotkach, college'u, o matce i Henrym. Co dalej? To dla niej za dużo. Czuje, że ogarnia ją fala paniki. Coś ściska jej klatkę piersiową. Mocno. Janie łapczywie chwyta powietrze. Nie może oddychać. Przekręca się na bok i zwija w kłębek.

- Uspokój się - sapie. - Uspokój się, do jasnej choiny.

To dla niej za dużo.

Zakrywa ręką usta i nos. Oddycha, wciąga i wypuszcza powietrze, aż w końcu udaje jej się wziąć porządny oddech. Przestaje myśleć.

Oddycha.

Po prostu oddycha.

Godzina 9.29

Drzwi do pokoju matki są cały czas zamknięte.

Janie błąka się bez celu po domu, zastanawiając się, co ma zrobić z Henrym. Zjada batonik. Czuje, że się spociła. Jest bardzo gorąco. Włącza w dużym pokoju wiatrak i otwiera drzwi wejściowe, marząc o przeciągu. Opada na kanapę.

Przez porwaną siatkę w drzwiach widzi, jak Cabel parkuje na podjeździe. Serce jej zamiera. Chłopak wyskakuje z samochodu i długimi, lekkimi krokami zmierza do drzwi. Jak zwykle sam sobie otwiera. Zatrzymuje się i patrzy.

Posyła jej krzywy uśmiech.

- Cześć - mówi.

Janie klepie ręką leżącą obok poduszkę.

- Nie myłam jeszcze zębów - uprzedza, gdy Cabel nachyla się nad nią. - Skóra ci schodzi na nosie.

- Nieważne. Nieważne. - Cabel całuje ją. Potem siada na kanapie. - Nie masz nic przeciwko, że tu jestem... I w ogóle? - pyta.

- Nie. - Janie kładzie mu rękę na udzie. - Wczoraj wieczorem po prostu nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać. Nie byłam pewna, co z matką, rozumiesz? Nie wiedziałam, co zrobi.

- A co zrobiła? - Cabel nerwowo rozgląda się wokół.

- Nic takiego. Była okropna. Ale nie niemożliwa. I ani słowem nie wspomniała o Henrym, a ja nie miałam odwagi zapytać. Boże, ona nie jest w stanie wytrzymać nawet dwunastu godzin bez picia. A jak nie pije, robi się złośliwa. - Janie spuszcza głowę. - Tak mi wstyd, rozumiesz?

- Mój ojciec też taki był. Tylko że jemu nie robiło różnicy, czy pił, czy nie. Przynajmniej był konsekwentny. - Cabel uśmiecha się cierpko.

Janie prychnie.

- Tak, chyba mam szczęście. - Zerka na Cabela.

Zastanawia się.

W końcu pyta:

- Wyobrażałeś sobie kiedyś, że nie żyje? To znaczy, jeszcze zanim cię skrzywdził? Że nie chcesz mieć z nim do czynienia?

Cabel mruży oczy.

- Każdego. Cholerne. Dnia.

Janie zagryza wargi.

- Więc cieszysz się, że zmarł w więzieniu?

Cabel długo nie odpowiada. Potem wzrusza ramionami. Kiedy wreszcie się odzywa, jego głos jest wyważony, jakby rozmawiał z psychiatrą.

- To było najlepsze wyjście, biorąc pod uwagę okoliczności.

Nagle czuje podmuch chłodnego powietrza na skórze mokrej od potu. Drży. Myśli o Henrym Feingoldzie, obcym człowieku, który prawdopodobnie jest jej ojcem. I właśnie umiera. Po raz trzeci w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin żałuje, że to nie ktoś inny.

Opiera głowę na ramieniu Cabela i obejmuje go. Chłopak odwraca się, i mocno ją przytula.

Bo nie ma nikogo innego.

Janie nie wie, co robić.

Wyobraża sobie życie bez ludzi. Bez niego. Złamane serce, samotność, ale zachowuje wzrok. Czuje. Żyje. Ma spokój. Nie musi co chwilę zerkać przez ramię, czekając na kolejny sen.

I życie z nim. Jest ślepa, ale kochana... Przynajmniej dopóki wszystko idzie dobrze. Ale przez cały czas ma świadomość, z czym on walczy w swoich snach. Czy przez te wszystkie lata naprawdę chce to oglądać? I być ciężarem dla tak niesamowitego faceta?

Wciąż nie wie, który scenariusz jest lepszy.

Ale myśli.

Może złamane serce goi się łatwiej niż połamane ręce i zepsuty wzrok.

Godzina 9.41

Od tego siedzenia robi się gorąco.

Cabe się przeciąga.

- Obudzisz ją i pojedziemy do szpitala?

- Boże, mam nadzieję, że nie.

- Janie.

- Tak, wiem.

- Tam przynajmniej jest klimatyzacja.

- W twoim samochodzie też. Może pobaraszkujemy?

Cabel się śmieje.

- Może jak zrobi się ciemno. Jak tylko zrobi się ciemno - poprawia się. - Ale poważnie, Janie. Chyba powinnaś pogadać z matką.

Janie wzdycha i przewraca oczami.

- Pewnie tak.

Godzina 9.49

Delikatnie puka do sypialni matki.

Zerka na Cabela.

Dla Janie ten pokój nie jest częścią jej domu. To jak drzwi do innego świata. Wrota do krainy smutku, z której czasami wyłania się Dorothea. Janie rzadko ma okazję zajrzeć do środka, chyba że matka akurat wychodzi.

Czeka. Wchodzi do środka, przygotowana na sen. Ale matka nie śni. Janie wypuszcza powietrze i rozgląda się po pokoju.

Przez podarte zasłony wpadają do środka promienie słońca. Prawie nie ma tu mebli, ale i tak wszędzie panuje bałagan. Na podłodze przy łóżku walają się papierowe talerze, butelki i szklanki. Jest gorąco i duszno. Powietrze jest stęchłe.

Matka Janie leży na plecach, śpi. Jej kościste ciało okrywa cienka koszula nocna.

- Mamo - szepcze Janie.

Matka nie odpowiada.

Dziewczyna czuje się nieswojo. Kiwa się na piętach. Słyszy, jak skrzypi podłoga.

- Mamo - mówi, tym razem głośniej.

Matka mruczy i patrzy na nią, mrużąc oczy. Z wysiłkiem podnosi się na łokciu.

- Ktoś dzwoni? - bełkocze.

- Nie, ja... Jest już prawie dziesiąta i zastanawiałam się, czy...

- Nie masz dziś szkoły?

Janie stoi oniemiała. Chyba żartujesz, myśli. Bierze głęboki wdech. Zastanawia się, czy nie nawrzeszczyć na matkę i nie przypomnieć jej, że zakończenie roku, na które zresztą nie przyszła, już dawno się odbyło, a teraz są wakacje. Ale dochodzi do wniosku, że nie jest to najlepszy moment.

- Nie, dzisiaj nie mam szkoły - rzuca szybko, zanim Dorothea będzie mogła jej przerwać. - Zastanawiam się, o co chodzi z tym Henrym. Jedziesz do szpitala? Nie chcę...

Matka głośno wciąga powietrze.

- O Boże - wzdycha, jakby dopiero teraz sobie o wszystkim przypomniała. Przekręca się na bok i z trudem się podnosi. Idzie do łazienki. Janie wlecze się za nią.

- Mamo? - jęczy Janie, kiedy idą do kuchni. Po drodze rzuca Cabelowi bezradne spojrzenie i wzrusza ramionami. - Mamo.

Dorothea wyciąga z lodówki sok pomarańczowy, lód i wódkę. To jej śniadanie.

- Co? - pyta matka, pociągając nosem.

- Czy Henry jest moim ojcem?

- Oczywiście, że jest twoim ojcem. Nie jestem dziwką.

Z drugiego pokoju słychać jakiś przytłumiony dźwięk. To Cabel.

- Czy on umiera?

Matka Janie bierze długi łyk.

- Tak mówią.

- Miał jakiś wypadek czy to jakaś choroba, o co chodzi?

Dorothea wzrusza ramionami i macha ręką.

- Jego mózg eksplodował. To chyba guz. Czy coś takiego.

Janie wzdycha.

- Pojechać z tobą znowu do szpitala?

Po raz pierwszy matka patrzy jej prosto w oczy.

- Znowu? A wczoraj mnie tam zawiozłaś?

- Mamo przyjechałam tak szybko, jak mogłam.

Matka wypija drinka i się wzdyga. Stoi przy blacie. W jednej ręce trzyma pustą szklankę, a w drugiej butelkę taniej wódki. Odstawia szklankę i butelkę na blat i zamyka oczy. Po policzku płynie jej łza.

Janie przewraca oczami.

- Jedziesz do szpitala czy nie? Ja... - zdobywa się na odwagę - nie będę tu cały dzień sterczeć.

- Rób, co chcesz, mała latawico, jak zawsze - mówi Dorothea. - Ja tam już nie wracam. - Chwiejnym krokiem przechodzi obok Janie i wchodzi do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Janie wypuszcza powietrze i wraca do dużego pokoju. Cabel, który był świadkiem całego zajścia, siedzi na kanapie.

- Okej - mówi do niego. - Co teraz?

Cabel jest wściekły. Potrząsa głową.

- A jak myślisz, co powinnaś zrobić?

- Nie mam zamiaru tam jechać, żeby go zobaczyć, jeśli o to ci chodzi.

- Mnie? To jest wyłącznie twoja sprawa, czy chcesz go zobaczyć, czy nie.

- Tak. Dobrze.

- Prawda, jest beznadziejnym ojcem. Nigdy nic dla ciebie nie zrobił. Kto wie, może ma drugą rodzinę? Pomyśl, jak byś się czuła, gdybyś się tam nagle zjawiła, a oni wszyscy by tam byli... - Cabel urywa.

- Rany, nawet o tym nie pomyślałam.

- Zastanawiam się, czy w Fieldridge High byli jacyś Feingoldowie. Może masz przybrane rodzeństwo?

- Był taki jeden koleś, Josh. Ten, który grał w kosza w szkolnej reprezentacji - mówi Janie.

- To był Feinstein.

- No tak.

Chwila ciszy. Cabel czeka na Janie.

- Feingold. To chyba żydowskie nazwisko, co? - pyta Janie.

- Czy to coś zmienia?

- Nie. To znaczy... To ciekawe. Nigdy nie zastanawiałam się, jakie mam korzenie, wiesz? Przeszłość. Przodkowie. - Janie pograża się w myślach.

Cabel kiwa głową.

- Cóż, wygląda na to, że nigdy się nie dowiesz.

Janie zamiera i patrzy na chłopaka.

Wali go w ramię.

Mocno.

- Wredota - krzyczy.

Cabel śmieje się, rozcierając ramię.

- Rany, co znowu zrobiłem?

Janie udaje oburzoną. Potrząsa głową.

- Przez ciebie zaczęłam o nim myśleć.

- Daj spokój - mówi. - Nie zastanawiałaś się nigdy, kim był twój ojciec?

Janie przypomina sobie powtarzający się sen matki. Ten, który przypomina kalejdoskop, gdzie Dorothea trzyma za rękę jakiegoś hipisa i oboje unoszą się do góry. Nieraz zastanawiała się, kim był jej ojciec. Czy Henry jest tym facetem ze snu.

- To pewnie jakiś garniak z dwójką dzieci, psem i domem z ogródkiem. - Janie rozgląda się po swoim głównianym domu. Całe jej życie jest takie. Musi niańczyć starą alkoholickę. Wie, że bez zasiłku Dorothei i jej własnych zarobków już dawno znalazłyby się na ulicy. Ale nie chce o tym myśleć.

Bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

- Dobra. Wezmę prysznic i pojadę do szpitala. Chcesz ze mną jechać?

Cabel się uśmiecha.

- Oczywiście. W końcu jestem twoim kierowcą, no nie?

Godzina 11.29

Cabel i Janie wchodzi po schodach na trzecie piętro. Kierują się w stronę podwójnych drzwi, które prowadzą na oddział. Janie zwalnia, aż w końcu staje. Odwraca się i wraca do poczekalni.

- Nie mogę - mówi.

- Nie musisz. Ale jak tego nie zrobisz, będziesz na siebie wściekła.

- A jak ktoś u niego jest?

- Jasne.

- A jeśli... A jeśli on się obudził? Jeśli mnie zobaczy?

Cabel zaciska usta.

- Po tym, co mówiła twoja matka, szczerze w to wątpię.

Janie lekko wzdycha i podchodzi do drzwi. Cabel idzie za nią.

- Okej. - Otwiera je i odruchowo zerka, czy któryś z pokoi jest otwarty, tak jak robiła to w Heather Home. Na szczęście większość sal jest pozamykana, a Janie nie wyczuwa żadnych snów.

Pewnym krokiem podchodzi do stolika.

- Ja do Henry'ego Feingolda.

- Wpuszczamy tylko członków rodziny. - Pielęgniarka odpowiada automatycznie. Na tabliczce z imieniem ma napisane Miguel.

- Jestem jego córką.

- Hej - mówi pielęgniarka, przyglądając się jej z uwagą. - Nie jesteś przypadkiem tą dziewczyną od afery z narkotykami?

- Tak. - Janie próbuje stać spokojnie.

- Widziałem cię w wiadomościach. Dobra robota.

Janie się uśmiecha.

- Dzięki. Więc... który to pokój?

- Trzysta dwanaście. Na końcu korytarza, po prawej stronie. - Miguel wskazuje na Cabela. - A ty?

- On... - zaczyna Janie. - On i ja. Jesteśmy razem.

Pielęgniarka patrzy na nią uważnie.

- Rozumiem. Jest twoim bratem?

Janie wypuszcza powietrze i uśmiecha się z wdzięcznością.

- Tak.

Cabel kiwa głową i nie odpowiada, jakby chciał udowodnić Miguelowi, że będzie grzeczny.

- Może mi pan powiedzieć, w jakim on jest stanie?

- Jest nieprzytomny, skarbie. Doktor Ming wszystko ci powie. - Miguel patrzy na Janie ze współczuciem. I dodaje: - Nie jest z nim najlepiej.

- Dziękuję - mruczy Janie.

Idzie wzdłuż korytarza. Cabel drepcze tuż za nią. A kiedy otwiera drzwi...

Trzaski. Jak zakłócenia włączonego na cały regulator radia. Janie upada na kolana, zakrywając uszy, chociaż wie, że to nic nie pomoże. Wokół niej wirują jaskrawe kolory, wielkie czerwone i purpurowe plamy. Nagle zalewa ją żółta fala, tak jaskrawa, że parzy ją w oczy. Próbuje coś powiedzieć, ale nie może.

Wokół nie ma nikogo. Jest tylko szum i oślepiające światło. To wszystko jest bardzo bolesne, pozbawione jakichkolwiek uczuć i emocji. Janie nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

Zdobywa się na ogromny wysiłek i próbuje się skoncentrować. Już ma się wydostać, gdy nagle obraz robi się wyraźniejszy. Przez ułamek sekundy widzi kobietę stojącą na środku wielkiego ciemnego pomieszczenia i mężczyznę siedzącego na krześle w rogu. Gdy Janie zamyka drzwi do koszmaru, oboje znikają.

Janie z trudem łapie powietrze. Po chwili odzyskuje wzrok i czucie w rękach. Klęczy przy samych drzwiach. Cabel stoi obok niej, mrużąc coś pod nosem, ale ona nie zwraca na niego uwagi. Gapi się na podłogę, zastanawiając się, czy ten sen, ten chaos, czy tak właśnie wygląda piekło.

- Nic mi nie jest - mówi do chłopaka. Powoli podnosi się na nogi, strzepując z kolan niewidzialne cząsteczki brudu.

Potem prostuje się i odwraca.

Patrzy na źródło koszmaru i wtedy po raz pierwszy go widzi.

Mężczyznę, który jest jej ojcem. Którego DNA nosi w sobie.

Janie wciąga powietrze. Powoli zakrywa ręką usta i robi krok do tyłu. Jej oczy robią się szerokie ze strachu.

- Dobry Boże - szepcze. - Co to, do diabła, znaczy?

Co to, do diabła, znaczy

Wciąż piątek, 4 sierpnia 2006, godzina 11.40

Cabel obejmuje Janie. Nie jest pewna, czy chce ją wesprzeć, czy powstrzymać przed ucieczką. Nie obchodzi ją to. Jest zbyt przerażona, by się ruszyć.

- Wygląda jak skrzyżowanie Kapitana Jaskiniowca i Unabombera - szepcze Janie.

Cabel kiwa głową.

- Ma niezły fryz, coś w stylu Alice Cooper. - Odwraca się i patrzy na nią. Po chwili dodaje łagodnym głosem: - O czym był ten sen?

Janie nie może oderwać oczu od szczupłego, owłosionego mężczyzny leżącego na łóżku. Wokół niego stoją różne urządzenia, ale żadne nie jest włączone. Nie ma gipsu, bandażu. Żadnej gazy ani taśmy.

Na jego twarzy maluje się ogromne cierpienie.

Janie zerka na Cabela i odpowiada na jego pytanie.

- To było dziwne - mówi. - Nawet nie wiem, czy to na pewno był sen. Tak jak... Wiesz, gdy oglądasz telewizję i nagle wyciągniesz kabel. Słysząc wtedy taki głośny szum.

- Dziwne. Widziałaś też czarno - białe kropki?

- Nie, różne kolory. Ogromne wiązki jaskrawych kolorów - purpurowe, czerwone, żółte. Ruchome, trójwymiarowe, kolorowe ściany, które zaczęły tworzyć wokół mnie pudełko, jakby chciały zamknąć mnie w środku. Były tak jaskrawe, że nie mogłam tego wytrzymać. To było okropne.

- Cieszę się, że udało ci się wydostać.

Janie kiwa głową.

- Potem ściany zniknęły i przez ułamek sekundy widziałam w oddali jakąś kobietę. A później ona zniknęła. Próbowałam się wydostać. Chyba straciłam okazję, żeby zobaczyć kawałek prawdziwego snu.

- Możesz tam wrócić?

- Nie wiem. Nigdy tego nie robiłam - odpowiada. - Może jak wyjdę z pokoju, zamknę drzwi i wrócę. Ale chyba tego nie chcę, rozumiesz?

Cabel kiwa głową i podchodzi do mężczyzny. Sięga bo zawieszoną przy łóżku kartę. Przez chwilę przygląda się jej uważnie i zerka na kolejną stronę. Podaje ją Janie.

- Nic z tego nie rozumiem. Chcesz się czegoś dowiedzieć?

Janie bierze od niego kartę. Czuje się tak, jakby wkraczała w życie obcego człowieka. Próbuje rozszyfrować skomplikowaną terminologię. Ale nawet jej doświadczenie z Heather Home na wiele się nie przydaje.

- Hm. Wygląda na to, że zauważyli umiarkowaną pracę mózgu.
- Umiarkowaną? Czy to dobrze? - Cabel wydaje się zmartwiony.
- Chyba nie - zaprzecza Janie. Odkłada kartę.
- Czy on nas słyszy? - szepcze chłopak.

Przez chwilę Janie nie odpowiada. Potem też zaczyna mówić szeptem.

- Możliwe. W Heather Home zawsze rozmawialiśmy z pacjentami w śpiączce, tak jakby nas słyszeli. Rodziny też o to prosiliśmy. Tak na wszelki wypadek.

Cabel głośno przełyka ślinę i patrzy na Janie. Nie wie, co powiedzieć. Szturcha ją łokciem i kiwa głową w stronę łóżka.

Janie marszczy brwi.

- Nie ponaglaj mnie - szepcze.

Przygląda się mężczyźnie i robi krok do przodu. Wzdryga się i zatrzymuje tuż przed łóżkiem, na którym leży jej ojciec. A może on tylko udaje i zaraz się na mnie rzuci? Myśli. Znowu się wzdryga.

Bierze głęboki wdech i przez chwilę, czuje się tak, jakby znowu miała do wykonania tajną misję. Wpatruje się w zbolaną twarz mężczyzny. Pod długimi czarnymi włosami widać szorstką, pokrytą bliznami skórę. Janie zastanawia się, czy to jemu zawdzięcza pryszcze, które czasami wyskakują jej na twarzy. Miejscami włosy mężczyzny są mocno przerzedzone, jakby ktoś je powyrywał. Widać nawet czaszkę pokrytą czerwonymi śladami po zadrapaniach.

Patrzy na jego dłonie. Paznokcie są czyste, ale poobgryzane, a skórki pokryte strupami. Wystające spod szpitalnej koszuli włosy na klatce piersiowej również są mocno przerzedzone, ale bardziej siwe niż te na głowie. Jego cera ma szarawy odcień, jakby nie przebywał dużo na słońcu, chociaż ramiona ma lekko opalone.

- Co ci się stało? - pyta szeptem, bardziej samą siebie.

Mężczyzna się nie rusza. Cierpienie na jego twarzy jest niepokojące. Janie zastanawia się, czy on słyszy w głowie te trzaski.

- To musi być bolesne - mruczy pod nosem.

Nagle odwraca się i patrzy na Cabela.

- To wszystko jest cholernie dziwne - szepcze. Wskazuje na drzwi. Cabel kiwa głową i wychodzą, zamykając za sobą drzwi.

- Zbyt dziwne - mówi głośno Janie. To więcej niż jest w stanie znieść. - Chodźmy już. Zróbmy coś, nie wiem, chodźmy poćwiczyć, powyglupiać się albo coś zjeść, cokolwiek. Muszę zapomnieć o tym facecie.

Godzina 12.30

Idą do baru Franka i w drzwiach wpadają na jakieś pół tuzina policjantów.

- Co, już wróciliście z wakacji? Tak się za nami stęskniliście? - śmieje się Jason Baker.

Janie go lubi.

- Chciałbyś. Sprawa rodzinna, musieliśmy wrócić trochę wcześniej. Ale już wszystko w porządku. - Janie lekko wzdycha.

Cabel i Janie siadają przy barze i zjadają szybki lunch. Janie dostaje darmowego szejka za akcję z narkotykami.

Nie jest tak źle.

Godzina 1.41

Janie zarzuca nogę na owłosioną nogę Cabela.

Ich stopy się stykają. Oboje pracują w jego piwnicy.

Janie przegląda strony medyczne. Szuka informacji na temat chorób i urazów mózgu, ale nie znajduje niczego konkretnego. Jest ich zbyt wiele.

Cabel szuka informacji o jej ojcu.

- No cóż - mówi. - Niczego nie znalazłem o Henrym Feingoldzie z Fieldrigde, w stanie Michigan. Jest jakiś pisarz o tym nazwisku, ale to chyba nie on. Nie wiadomo, czym twój ojciec się zajmował lub zajmuje.

Janie zamyka laptopa. Wzdycha.

- Nie mogę go rozgryźć. Zastanawiam się, dlaczego w szpitalu nic nie robią?

- Może nie jest ubezpieczony - mówi cicho Cabel. - Nie chcę go osądzać po wyglądzie, ale raczej nie wygląda na dyrektora w jakiejś korporacji.

- Tak, pewnie o to chodzi. - Janie zamyka oczy. Opiera głowę na ramieniu chłopaka.

Myśli o dwojgu spokrewnionych z nią ludziach. Matka - chuda alkoholiczka z wiecznie tłustymi włosami, wyglądająca staro i krucho w wieku zaledwie trzydziestu paru lat. Ojciec - dziwne skrzyżowanie Ruperta z *Ocalonego* i Hagrida.

- Myślisz czasami o tym, jak będę wyglądała za piętnaście lat? W dodatku ślepa, Cabe? Słodki Boże, moja rodzina to prawdziwy cyrk dziwadł.

- Czemu przejmujesz się swoim wyglądem? - Głaszcze ją po udzie. - Dla mnie zawsze będziesz piękna. - Stara się powiedzieć to lekko, ale Janie słyszy, że nie przychodzi mu to łatwo.

- Tak czy siak, oboje są dziwakami.

Cabel się uśmiecha. Odkłada laptopa na podłogę i to samo robi z komputerem Janie. Powoli ją popycha do tyłu. Janie chichocze. Cabel kładzie się na niej i mocno przytula, przygniatając ją swoim ciałem. Janie zarzuca mu ręce na szyję i przyciąga do siebie.

- Kocham cię, dziwaku - szepcze Cabel.

Jego słowa prawie ją zabolowały.

- Też cię kocham, wielki, chropowaty potworze - mówi Janie.

To bolało jeszcze bardziej.

A potem się całują.

Powoli, delikatnie.

Bo jeśli ma się u boku odpowiednią osobę, pocałunki mogą leczyć.

Ale Janie cały czas myśli o czymś innym. Zastanawia się, czy warto tracić wzrok, kiedy istnieje inne wyjście.

Poza tym może Cabel nigdy nie powie jej o swoim strachu?

To wszystko jest cholernie przerażające.

To tak jakby Cabe był ślepy.

Przestają się całować, a Cabel chowa twarz w zagłębieniu jej szyi i pieści jej zarumienioną skórę.

- O czym myślisz? - pyta.

- Poza tobą?

- Sprytne - śmieje się Cabel. Jego usta laskoczą jej skórę. Gryzie ją. - Tak, poza mną. Jeżeli jest to w ogóle możliwe.

- Och - wzdycha Janie. - Gdybym już miała myśleć o czymś innym, to chyba o tym, czy powinnam pogadać z matką. - Z roztargnieniem odgarnia mu włosy z twarzy. - I dowiedzieć się, co się między nimi stało, i ze mną. I co niby mamy teraz zrobić z tym pustelnikiem.

Cabel siada i kiwa głową. A potem z jękiem podnosi się do góry. Pomaga Janie wstać.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą?

- Chyba będzie lepiej, jak sama się tym zajmę. Ale dzięki.

- Tak myślałem. Zadzwoń do mnie, dobrze?

W tym momencie dzwoni komórka Janie.

- To Carrie telefonuje, muszę odebrać. - Janie posyła mu całusa i wchodzi po schodach. Odbiera telefon. - Carrie!

- Cześć laska. Jak tam wasza rodzinna opera mydlana? Dobrze się czujesz?

- To wszystko jest cholernie dziwne i pogmatwane, ale nic mi nie jest. Jeszcze raz dzięki, że zajęłaś się moją matką. Jesteś najlepsza.

- Nie ma problemu. Ktoś musi pilnować porządku w okolicy, no nie?

- Chryste. Carrie! - Ale Janie chichocze.

- Słuchaj, wiesz gdzie mnie szukać, jakbyś czegoś potrzebowała - odpowiada. - Hej?

- Co?

- Zareczyłam się.

- Co takiego?

- Wczoraj wieczorem Stu poprosił mnie o rękę.

- Do diabła! - krzyczy Janie. - Zgodziłaś się?

- Oczywiście, przecież dopiero co powiedziałam, że się zaręczyłam.

- Carrie. Jesteś... pewna? Szczęśliwa?

- Jasne. To znaczy, oczywiście, że tak! Wiem, że Stu jest facetem, z którym chcę być.

- Ale?

- Ale nie spodziewałam się tego już teraz.

Janie, która zdążyła już dotrzeć do swojego domu, idzie prosto do Carrie.

- Jesteś w domu?

- Tak.

- Mogę wpaść?

- Kochanie - mówi z ulgą Carrie. - Jasne, że tak. Czekam w moim pokoju.

- Na razie. - Janie odkłada telefon i wchodzi do środka. Idzie prosto do pokoju koleżanki i rzuca się na łóżko. Carrie siedzi przed lustrem przy toalecie i prostuje włosy.

- Więc - zaczyna Janie - masz pierścionek?

Carrie uśmiecha się i pokazuje jej rękę.

- Dziwnie się czuję. To trochę krępujące, wiesz?

- Co na to twoja mama?

- Powiedziała, że znacznie lepiej, żeby nie była w ciąży.

Janie prychnęła.

- Co się dzieje z naszymi rodzicami? Chwileczkę... Chyba nie jesteś, co?

- Oczywiście, że nie! Chryste, Janers! Może i nie miałam w szkole najlepszych stopni, ale nie jestem głupia. Wiesz przecież, że biorę pigułki. Poza tym jego wacek nie może się do mnie zbliżyć bez płaszczyka przeciwdeszczowego, kapujesz? Nic nie przebije się przez moją fortecę!

- To dobrze. - Janie ponownie wybucha śmiechem. - Ale odniosłam wrażenie, że nie jesteś do końca przekonana.

Carrie odkłada prostownicę i wzdycha.

- Chcę wyjść za Stu. Naprawdę. Nie ma nikogo innego, a on nie naciska. Ale zaczął już ustalać datę. W przyszłe wakacje, żebym mogła najpierw zaliczyć rok w szkole dla kosmetyczek... Sama nie wiem. To poważna sprawa. Nie chcę tego zepsuć.

Janie milczy i pozwala jej wszystko z siebie wyrzucić. Dziwnie się czuje, plotkując z Carrie.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zamienić się z nią problemami.

- To tyle, jeśli o mnie chodzi. A co u ciebie? - Carrie nakłada na proste już włosy jakiś klejący, błyszczący płyn.

- Muszę iść do domu i dowiedzieć się, co jest między moją matką i tym całym Henrym. Muszę z nią pogadać.

Carrie patrzy na odbicie Janie w lustrze i kręci lekko głową.

- To życzę szczęścia. Rozmowa z twoją matką to jak gadanie z tym gościem o imieniu Godot.

Janie się śmieje. Uwielbia Carrie.

- Może powinnam się upić i wyzwąć ją na pojedynek.

- Zadzwoń do mnie, jak to się stanie. Chciałabym to zobaczyć.

Janie uśmiecha się i ściska Carrie.

- Jasna sprawa.

W drodze do domu, myśli, że to wcale nie jest taki głupi pomysł.

Rozmowa

Godzina 16.01

Janie bierze kilka głębokich wdechów i próbuje nabrać pewności siebie. Musi jej to wystarczyć. Wyciąga z lodówki puszkę piwa, otwiera ją i pociąga łyk gorzkiego napoju. Od czasu imprezy u Durбина nie miała w ustach alkoholu i dziwnie się czuje.

Czeka na kanapie, mając nadzieję, że matka sama się zjawi.

Godzina 16.46

Cały czas czeka. Piwa już nie ma.

Wyciąga kolejną puszkę. Włącza telewizor i ogląda *Sędzię Judy*.

Przełącza na teleturniej - sędziowie przywołują zbyt wiele bolesnych wspomnień.

Godzina 17.39

Gdzie ona do diabła jest? Wie, że musi do niej iść.

Ale najpierw musi do łazienki.

Godzina 17.43

Janie otwiera drzwi do pokoju matki, trzymając w ręku dwie puszkę piwa. Jedna to prezent. Albo łapówka. Ale w tym momencie zostaje wessana w sen. Upuszcza puszkę i upada na podłogę. Słyszy pyknięcie i syk. Wie, że jedna z puszek się otworzyła.

Ale i to nie wystarcza, by obudzić Dorotheę z jej pijackiego snu. Do diabła, myśli Janie. Sny i alkohol nie wróżą nic dobrego.

Próbuje się wydostać, ale czuje, że kręci jej się w głowie. Nie udaje się.

Stoją w kolejce przed jakimś budynkiem. Dorothea trzyma na rękach płaczące niemowlę. Janie wie, że to ona, bo któż by inny? Powoli posuwają się do przodu, ale budynek coraz bardziej się oddala. To jakieś schronisko albo jadłodajnia. Janie stoi na ulicy, obserwując matkę. Próbuje przykuć jej uwagę. Może tym razem uda jej się coś zmienić. Popatrz na mnie, myśli Janie, próbując się skoncentrować. Popatrz na mnie.

Ale nie ma w sobie dość sił. Dorothea zerka na nią odruchowo i odwraca wzrok. Robi się coraz bardziej niecierpliwa. W końcu Janie patrzy na budynek. Są tam dwa okna.

A nad nimi olbrzymi napis.

„Jedzenie za dzieci”.

Tak jest napisane.

Janie widzi, jak w jednym okienku ludzie oddają swoje dzieci, a w drugim odbierają karton z jedzeniem.

Janie z całej siły próbuje krzyknąć, ale nie może. Zbiera w sobie resztkę sił i ślepo pełźnie po podłodze w stronę łóżka. Uderza w nie głową i zarzuca odrętwiałe ręce na materac. Nie jest nawet pewna, czy trafia w matkę. Próbuje ją obudzić i wydostać się z tego koszmaru.

W końcu wszystko wokół robi się czarne.

W tym samym momencie słyszy:

- Co się z tobą dzieje?

Janie nie odzyskała jeszcze wzroku. Czuje, że cała jest mokra od piwa, które wybuchło. Dorothea odpycha ją.

- Co tu robisz?

Janie udaje, że widzi. W końcu ma otwarte oczy.

- Potknęłam się.

- Wynoś się stąd ty...

- Przestań! - Janie jest pijana, skołowana i oślepiąca. Ale ma już tego dość. - Nie mów do mnie w ten sposób! Nigdy więcej nie waż się tak mówić. Gdyby nie ja, już dawno wylądowałabyś na ulicy i dobrze o tym wiesz, więc się zamknij do cholery!

Matka jest zaskoczona.

Janie jest zszokowana swoimi słowami.

Dlatego obie milczą.

Janie powoli odzyskuje wzrok i czuje, że może się już ruszać. Podnosi się i zabiera puszkę.

- Co za bajzel - mruczy. - Wychodzi.

Po chwili wraca ze szmatą i zaczyna wycierać.

- Wiesz co? Korona by ci z głowy nie spadła, gdybyś mi pomogła.

Po chwili matka podchodzi do niej.

- Piłaś? - burczy Dorothea.

- I co z tego? Co cię to obchodzi? - Janie wciąż jest wkurzona i trochę przestraszona tym snem. - Dlaczego mnie nienawidzisz?

Matka pochyła się nad podłogą, by zetrzeć mokrą plamę. Kiedy się odzywa, jej głos brzmi łagodniej.

- Nie nienawidzę cię.

Janie jest wściekła.

- Mamo? Co jest między tobą i Henrym? Chyba powinnam wiedzieć.

Dorothea odwraca wzrok. Wzrusza ramionami.

- To twój ojciec.

- Tak, już to mówiłaś. Mam zadawać bardziej szczegółowe pytania? Chryste!

Dorothea marszczy czoło.

- Nazywa się Henry Feingold. Poznaliśmy się w Chicago podczas wakacji, kiedy miałam szesnaście lat. Był studentem na Uniwersytecie Michigan. Pracował w pizzerii Lou Malnatiego w Lincolnwood. Byłam tam kelnerką.

Janie próbuje wyobrazić sobie matkę wykonującą jakąkolwiek pracę.

- I co? Zaszłaś w ciążę, a on cię zostawił? Jest dupkiem? W jaki sposób wylądowałaś w Fieldridge?

- Zapomnij o tym. Nie chcę o tym gadać.

- Daj spokój, mamo. Gdzie on mieszka?

- Nie mam pojęcia. Pewnie gdzieś w okolicy. Rzuciłam szkołę i pojechałam za nim. Przez jakiś czas mieszkaliśmy razem, a potem on odszedł i nigdy więcej go nie widziałam. Tyle. Zadowolona?

- Wiedział, że byłaś w ciąży?

- Nie. To nie była jego sprawa.

- Ale... skąd wiedziałaś, że jest w szpitalu?

Matka patrzy na nią nieobecny wzrokiem.

- Miał przy sobie jakieś papiery, które dał sanitariuszom. Było tam moje nazwisko jako osoby, z którą należy się skontaktować. Podpisał również dokument, że nie chce być podtrzymywany przy życiu. Tak mówiła pielęgniarka.

Janie milczy.

Dorothea mówi dalej, łagodnie.

- Powinam się postarać o coś takiego. Żebyś nie musiała cierpieć, kiedy wysiądzie mi wątroba.

Janie odwraca wzrok i wzdycha.

Powinna chyba zaprotestować.

Ale kogo ona chce oszukać?

- Tak - mówi. - Może i powinnaś.

Dorothea ponownie kładzie się na łóżku. Odwraca się do ściany.

- Nie chcę już o tym rozmawiać. Nigdy więcej.

Po chwili Janie wstaje i chwiejnym krokiem idzie do łazienki. Zwraca kilka puszek taniego piwa i jeszcze coś.

- Nigdy więcej - powtarza.

Na czworakach pełźnie do swojego pokoju, zamyka drzwi, wczołguje się na łóżko i zasypia.

Godzina 00.12

Janie biegnie. I biegnie.

Całą noc.

Ale nigdy nie dociera na miejsce.

Sobota

5 sierpnia 2006, godzina 8.32

- Słucham? - Janie odbiera telefon zachrypniętym głosem. - Co? - Wciąż jest pogrążona w półśnie.

- Wszystko w porządku?

Janie milczy. Ma wrażenie, zna ten głos, ale nie wie skąd.

- Janie? Mówi Kapitan. Jesteś tam?

- Och! - krzyczy Janie. - Boże, przepraszam. Ja...

- Przepraszam, że cię obudziłam. Nie dzwoniłabym, ale Baker mówił, że masz jakieś problemy rodzinne i jesteś już w mieście. Chciałam się tylko zapytać, czy wszystko w porządku. I dowiedzieć się czegoś więcej.

- Ja... To jest trochę skomplikowane - chrypi Janie. Kładzie się na plecach. Usta ma tak wysuszone, jak by całą buzię wypchała papierem toaletowym. - Ale wszystko w porządku. To znaczy... To długa historia. Rany.

- Mam czas.

- Mogę oddzwonić później? Mam drugi telefon.

- Poczekam.

Pomimo bólu głowy Janie uśmiecha się i odbiera drugie połączenie.

To Cabe.

- Cześć skarbie, wszystko w porządku? Co się wczoraj działo?

- Tak, zadzwonię za chwilę.

- Dobra. - Rozłącza się.

Janie wraca do Kapitana.

- Już jestem - mówi.

- Świetnie.

- Ale wolałabym nie wchodzić w szczegóły. Więc... - Janie czuje, że zaczyna nabierać odwagi.

Przez chwilę Kapitan nie odpowiada.

- Jasne, rozumiem. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

- Oczywiście. Dziękuję.

- Widzimy się w poniedziałek. Uważaj na siebie, Janie. - Kapitan się rozłącza.

Janie zamyka klapkę telefonu i jęczy.

- Czemu, do cholery, wszyscy dzwonią do mnie o ósmej trzydzieści rano?

Godzina 9.24

Po prysznicu, śniadaniu i umyciu zębów Janie czuje się nieco lepiej. Wzięła ibuprom i wypila trzy szklanki wody.

- Nigdy więcej - mruczy do lustra. Dzwoni do Cabela.

- Przepraszam, że tak późno. - Janie wyjaśnia mu, co zaszło zeszłego wieczoru.

Przechodzi przez podwórka i wchodzi do jego domu.

- Hej - mówi, rozłączając się.

Cabel uśmiecha się i odkłada telefon.

- Jadłaś śniadanie?

- Tak.

- Chcesz się przejechać?

- Może do szpitala?

Cabel kiwa głową.

- Jasne.

- Nie żebym czuła się jakoś zobowiązana. Bo tak nic jest.

- No i dobrze.

Janie jest pogrążona w myślach. Duma o tym, co zeszłej nocy mówiła matka, chociaż nie pamięta wszystkiego zbyt wyraźnie.

- Myślę - zaczyna powoli - że on nie jest dobrym człowiekiem.

- Co?

- Takie mam przeczucie. Nieważne. Chodźmy już.

- Jesteś pewna, że chcesz tam jechać, jeśli facet jest złym człowiekiem?

- Tak, to znaczy, chcę się dowiedzieć. Po prostu muszę wiedzieć, czy jest zły.

Cabel wzrusza lekko ramionami, ale doskonale rozumie. Jadą.

Godzina 9.39

W szpitalu Janie jak zwykle bardzo ostrożnie idzie przez korytarz, uważając na otwarte drzwi. Zostaje wciągnięta w jakiś lekki sen, ale tylko na krótką chwilę, nie musi nawet zwalniać kroku. Zatrzymują się pod drzwiami Henry'ego. Janie zaciska dłoń na klamce.

Trzaski i jaskrawe kolory. Janie prawie pada na kolana, ale tym razem jest przygotowana. Posuwa się na oślep do łóżka. Cabel pomaga jej się położyć na podłodze. Głowa drży od hałasu. Jest głośniejsze niż zwykle.

Janie czuje, że za chwilę eksplodują jej bębniaki. Nagle hałas ustaje, a obraz się zmienia.

Znowu widzi stojącą w ciemności postać. To ta sama kobieta. Janie jest tego pewna, ale nie widzi żadnych znaków szczególnych. A potem dostrzega mężczyznę. To oczywiście Henry. To jego sen. Jest w cieniu, siedzi na krześle i patrzy na kobietę. Nagle odwraca się i spogląda na Janie. Jego oczy robią się okrągłe. Siada prosto na krześle. „Pomóż mi!” - błaga.

Wtedy, jak w urwanym filmie, obraz znika i znowu słychać trzaski, głośniejsze niż wcześniej, jakby ktoś krzychał jej do ucha. Janie walczy, wali głową o podłogę. Próbuje wydostać się ze snu, ale nie może się skupić. Ten dźwięk nie pozwala jej się skoncentrować.

Rzuca się po podłodze. Próbuje.

Domyśla się, że Cabel jest gdzieś przy niej, trzyma ją w ramionach, ale nic nie czuje.

Jaskrawe kolory wdzierają się pod jej powieki, w jej umysł, ciało. Trzaski są jak małe igielki, które kłują każdy milimetr jej skóry.

Jest w pułapce.

Uwięziona w koszmarze człowieka, który nie może j się obudzić.

Janie znowu walczy, czuje, że zaczyna się dusić. Wie, że jeśli się nie wydostanie, umrze. Cabel! - krzyczy w myślach. Zabierz mnie stąd!

Ale on jej nie słyszy.

Zbiera w sobie resztki sił i próbuje się wydostać, Wydaje z siebie jęk, który boleśnie przeszywa całe jej ciało. Kiedy koszmar znowu przybiera postać kobiety, Janie ledwo udaje się wyrwać z jego pęt.

Z trudem łapie powietrze.

- Janie? - Cabel odzywa się łagodnym, ale niecierpliwym głosem.

Dotyka jej skóry, od czoła po policzki. Chwyta ją za ramiona i zanoszi na krzesło.

- Wszystko w porządku?

Janie nie jest w stanie mówić. Nic nie widzi. Jej ciało jest odrętwiałe. Może jedynie kiwać głową.

Po chwili, w drugiej części pokoju słyszą jakiś dźwięk.

To na pewno nie Henry.

Janie słyszy, jak Cabel przeklina pod nosem.

- Dzień dobry - mówi mężczyzna. - Nazywam się doktor Ming.

Janie prostuje się na krześle, na tyle, na ile może. Ma nadzieję, że Cabel stoi przed nią.

- Cześć - odpowiada Cabel. - My... Ja... Jak on się dzisiaj czuje? Dopiero co przyszliśmy.

Doktor Ming nie odpowiada od razu, a Janie czuje, że zaczyna się pocić. Boże, on się na mnie gapi, myśli.

- Czy wy?

- Jesteśmy jego dziećmi.

- A ta młoda dama dobrze się czuje?

- Jasne. To jest... - Cabel wzdycha i głos mu się urywa. - To jest dla nas naprawdę ciężki okres.

Janie wie, że kręci, by dać jej trochę czasu.

- Oczywiście - mówi doktor. - Cóż.

Janie powoli odzyskuje wzrok i spostrzega, że doktor Ming patrzy na kartę.

- To się może stać w każdej chwili, ale równie dobrze może jeszcze trochę potrwać.

Trudno powiedzieć.

Janie chrząka i przechyla się na krześle, żeby zobaczyć coś więcej.

- Czy jego mózg umarł?

- Hm? Nie, obserwujemy jeszcze jakąś aktywność.

- Co mu dokładnie jest?

- Tak naprawdę nie wiemy. To mógł być guz, może seria udarów. Ale bez operacji, nigdy się tego nie dowiemy. A ojciec wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie żadnych akcji ratowniczych. A najbliższa krewna, zapewne wasza matka, nie podpisała zgody na operację. - Mówi to tak litościwym tonem, że Janie od razu zaczyna go nienawidzić.

- Jest ubezpieczony? - przerywa mu Janie.

Doktor sprawdza coś w papierach.

- Najwyraźniej nie.

- A jakie są szanse, że operacja mu pomoże? Będzie normalnie funkcjonować?

Doktor Ming zerka na Henry'ego, jakby chciał ocenić jego szanse.

- Nie wiem. Na pewno nie będzie już sam mieszkać. O ile w ogóle przeżyje operację. -

Znowu zerka na kartę.

Janie powoli kiwa głową. To dlatego. Dlatego tu leży. I jeszcze te papiery. Dlatego nic nie robią. Próbuje zachować spokój, ale w jej głosie słychać zdenerwowanie.

- To ile kosztuje oczekiwanie na śmierć?

Doktor kręci głową.

- Nie wiem, to już pytanie do działu księgowego - Zerka na zegarek. Odkłada kartę. -
Dobrze, to już wszystko.

Szybko wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Po jego wyjściu Janie patrzy na Cabela gniewnym wzrokiem.

- Nigdy więcej nie pozwól, by do tego doszło! Nie widziałeś, że wpadłam w pułapkę?
Nie mogłam się wydostać. Myślałam, że umrę.

Cabel otwiera usta. Jest zaskoczony i urażony.

- Widziałem, że walczysz, ale nie byłem pewien, czy nie będziesz na mnie wściekła, jeśli ci przerwę. Poza tym co niby miałem zrobić? Ciągnąć cię po korytarzu? Jesteśmy w pieprzonym szpitalu, Hannagan. Gdyby ktoś zobaczył cię w takim stanie, w pięć sekund znalazłabyś się na wózku i utknęlibyśmy tu na cały dzień, nie wspominając już o rachunku za tę przyjemność.

- Lepsze to niż kraina wiecznego szumu. Nic dziwnego, że facet oszalał. Ja ledwo żyję, a spędziłam tam zaledwie kilka minut. Poza tym - Janie dodaje chłodno, wskazując na drzwi od łazienki - a to co?

Cabel przewraca oczami.

- Nie pomyślałem, w porządku? Nie zamierzam skupiać się tylko na twoich głupich problemach. Jest więcej...

Zaciska usta.

Janie nieruchomieje.

- O rany. - Cabel podchodzi do niej i spogląda na nią przepraszającym wzrokiem.
Janie się cofa.

Kręci głową i patrzy gdzieś w bok. Zakrywa usta, a w jej oczach zbierają się łzy.

- Janie, nie. Nie chciałem tego powiedzieć.

Janie zamyka oczy i głośno przełyka ślinę.

- Nie - mówi powoli Janie. Wie, że to prawda. - Masz rację. Przepraszam. - Śmieje się ponuro. - Dobrze, że o tym mówisz.

- Daj spokój - jąka się Cabel. - Chodź do mnie. - Ponownie się do niej zbliża i tym razem Janie podchodzi bliżej. Cabel przejeżdża palcami po jej włosach i przytula ją. Całuje ją w czoło. - Ja też przepraszam. I wcale tak nie jest. Nie to chciałem powiedzieć.

- Czyżby? Chcesz powiedzieć, że nie obchodzi cię to, co się ze mną stanie? I jak to wpłynie na twoje życie?

- Janie... - Cabel patrzy na nią bezradnym wzrokiem.

- Co?

- Co chcesz usłyszeć?

- Chcę, żebyś powiedział prawdę. Nie martwisz się? Ani trochę?

- Janie - zaczyna znowu Cabel. - Nie rób tego. Czemu to robisz?

Nie odpowiada na pytanie.

Dla Janie wszystko jest jasne. Zamyka oczy.

- Jestem trochę zdenerwowana - szepcze po chwili, u potem potrząsa głową.
Przynajmniej teraz już wie. - Mam sporo na głowie.

- Naprawdę? - Cabel śmieje się lekko.

- Niezłe wakacje, co?

Cabel prycha.

- Taa. Kiedy wygrzewaliśmy się w słońcu?

Janie myśli o matce, ojcu i o tym wszystkim. O Cabelu i głupich problemach, jak mówi Cabel. Poza tym kto zapłaci za szpital? Oby tylko Henry miał pieniądze, ale wygląda na bezdomnego.

- Nie ma ubezpieczenia - jęczy na głos. Wali głową w piersi Cabela.

- To nie twój problem.

Janie wzdycha.

- To dlaczego czuję się odpowiedzialna?

Cabel milczy.

Janie patrzy na niego.

- Co? - pyta.

- Chcesz analizy?

Śmieje się.

- Jasne.

- Pewnie będę tego żałował, ale wygląda to tak. Przyzwyczaiłaś się do tego, że jesteś odpowiedzialna za matkę. Teraz widzisz tego gościa. Ktoś ci powiedział.

Ile to twój ojciec i instynkt od razu ci podpowiada, żeby i za niego wziąć odpowiedzialność, bo wygląda jeszcze gorzej niż twoja matka. A myśleliśmy, że to niemożliwe.

Janie wzdycha.

- Próbuję tylko przez to wszystko przejść, rozumiesz? Staram się z tym wszystkim uporać po kolei, w nadziei że to już koniec. A potem patrzę i widzę, że nic z tego. Zaraz pojawia się coś nowego. Chcę się wreszcie od tego uwolnić. - Janie patrzy na Henry'ego i podchodzi do łóżka. - Ale nigdy tak nie będzie - mówi. Długo patrzy na ojca.

Myśli.

Myśli.

Może czas na zmiany.

Czas zająć się tylko jedną osobą.

- Chodźmy - mówi w końcu. - Chyba nic nie możemy dla niego zrobić. Poczekamy, aż zadzwonią do mojej matki, jak on... Gdy będzie po wszystkim.

- Dobrze, skarbie. - Cabel idzie za Janie i wychodzą z pokoju.

Kiwa głową do Miguela, a on uśmiecha się do nich ze współczuciem.

- Co teraz? - pyta Cabel, chwytając Janie za rękę, gdy idą do samochodu. - Idziemy coś zjeść?

- Wolałabym, żebyś zawiózł mnie do domu, dobrze? Potrzebuję trochę czasu. Muszę też sprawdzić, co z matką.

- Dobrze. - Cabel nie wydaje się zachwycony - Wieczorem?

- Tak... - Janie jest rozkojarzona. - Dobry pomysł.

Godzina 13 15

Janie rzuca się na łóżko i chowa twarz w poduszkę. Wiatrak chodzi na pełnych obrotach, okno jest zamknięte, a zasłony zaciągnięte, by powstrzymać napływ gorącego powietrza. W domu jest gorąco, ale Janie to nie przeszkadza. Nie doszła jeszcze do siebie po wczorajszej nocy. Zapada w popołudniową drzemkę. Jej sny są poplątane i przypadkowe. Najpierw pojawia się podejrzany, owłosiony facet, który ją goni, potem pijana matka, błakająca się nago po ogrodzie. Pan Durbin, który grozi, że ją zabije. A na koniec parada wszystkich ludzi z Hill. Wytykają ją palcami i śmieją się z niej, tajnej agentki.

Potem ma okropny sen, w którym umiera pani Stubin, i chociaż wie, że ona już nie żyje, wciąż ją to boli. Janie płacze przez sen. Kiedy się budzi, ma wilgotne Oczy.

Cała jest mokra. Spociła się. Nawet pościel jest wilgotna.

Czuje się tak, jakby ktoś nieźle jej przyłożył.

Nienawidzi takich drzemek.

Godzina 16.22

Wkłada buty do biegania, rozciąga się i wychodzi, trzymając w ręku butelkę wody. Może tego właśnie potrzebuje. Nie ćwiczyła cały tydzień.

Idzie po podjeździe, chrzęszcząc butami po żwirze i zaczyna biec. Biegnie po pokrytym smołą chodniku, zostawiając dziury na czarnej, miękkiej od słońca powierzchni. Kropelki potu spływają jej po plecach i piersiach. Jest zmęczona, ale biegnie dalej, czekając na falę gorąca. Biegnie aż do Heather Home, nie zdając sobie nawet sprawy, dokąd zmierza. Rytmiczne kroki, równy oddech wypierają z jej umysłu złe myśli i wspomnienia.

Ale nie do końca jej się to udaje.

Wbiega na pokryty cementem parking. Zatrzymuje się. Stoi na jednym z miejsc postojowych, którego linie już dawno się wytarły. Spogląda w górę ponad ogromnymi klonami, przypominając sobie letni wieczór sprzed kilku lat, kiedy siedziała tu z trzema pensjonariuszkami Heather Home, oglądając pokaz sztucznych ogni z okazji Czwartego Lipca. Zachwytem nie było końca, chociaż jedna z kobiet była ślepa.

Ślepa jak w przeszłości Janie.

Och, pani Stubin.

Janie z trudem łapie oddech i kładzie się na rozgrzanym cemencie. Z jej oczu płyną łzy. Ma osiemnaście lat i zakochała się w chłopaku, który nie chce rozmawiać o tym, co się z nią dzieje. Czuje ciężar, że nie może prowadzić normalnego życia nastolatki. Nie po raz pierwszy zastanawia się, czemu to wszystko spotkało właśnie ją. Myśli o tym, że przyjmując propozycję Kapitana, popełniła ogromny błąd. Zastanawia się, co by było, gdyby nie przeczytała tego cholernego zielonego notesu i gdyby w wieku ośmiu lat nie wsiadła do pociągu, od którego wszystko się zaczęło. Gdyby choć raz mogła naprawdę przejąć kontrolę nad własnym życiem.

Zastanawia się, czy powinna zrobić to, czego cały czas się obawia.

Uratować siebie i chrzanić pozostałych.

- Dajcie mi wreszcie spokój! - krzyczy w kierunku dawno wygasłych sztucznych ogni.
- Co mam do cholery zrobić, żeby wreszcie normalnie żyć? Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? Dlaczego? - Płacze. - Dlaczego?

I jak zwykle,
nie ma żadnej odpowiedzi.

Godzina 17.35

Janie się podnosi.

Otrzepuje szorty.

Biegnie do domu.

Godzina 18.09

Tylnym wejściem wślizguje się do Cabela. Jest wyczerpana i czuje się pusta.

Chłopak zerka na nią z kuchni, gdzie przygotowuje sobie kanapkę. Mruga.

- Cześć - mówi Janie. Stoi w miejscu. Policzki ma brudne od łez, ulicznego kurzu i potu.

Cabel marszczy nos.

- Pachniesz okropnie - krzywi się. - Chodź.

Prowadzi ją do łazienki i odkręca wodę. Klęka, by zdjąć jej buty i skarpetki. Janie odkłada na półkę okulary i rozpuszcza włosy. Cabel pomaga jej zdjąć brudne ubranie. Odchyła zasłonę.

- Wchodź - mówi.

Janie wchodzi.

Cabel przygląda się jej, podziwiając zaokrąglone kształty. Odwraca się niechętnie.

Zatrzymuje się.

Myśli, że może przyda jej się odrobina pieśczot.

Zsuwa koszulkę i szorty. I bokserki. I dołącza do niej.

Godzina 18.42

- Cabel? - mówi Janie, wycierając włosy. Czuje się odświeżona. Uśmiecha się od ucha do ucha. Odsuwa na bok wszystkie myśli. - Jak chcesz, możemy nałożyć na twojego wacka płaszczyk przeciwdeszczowy i zająć się tobą?

Cabel patrzy na nią.

Odwraca głowę i mruży oczy.

- Kim, do diabła, jest wacek?

Godzina 23.21

Są w chłodnej, ciemnej piwnicy, Janie szepcze:

- Chyba nie nazywasz go Ralph, co?

Cabel przez chwilę nic nie odpowiada, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Jak ten z *Forever*? Nie.

- Czytałeś *Forever*? - Janie nie może uwierzyć.

- W szpitalnej bibliotece nie było w czym wybierać, a *Deenie* cały czas była wypożyczona. - Cabel mówi z sarkazmem.

- Podobało ci się? Cabel śmieje się lekko.

- Cóż, nie była to chyba najlepsza książka dla czternastoletniego gościa ze świeżym przeszczepem skóry w dolnych partiach ciała, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Janie powstrzymuje śmiech i chowa twarz w jego koszulce. Mocno go przytula. Po paru minutach pyta:

- No więc jak? Pete? Clyde?

Cabel odwraca się na drugi bok, udaje że śpi.

- Fred prawda?

- Janie. Daj spokój.

- Nazwałeś go Janie? - chichocze.

Cabel wdycha.

- Idź spać.

Godzina 23.41

Śpi. Jest cudownie.

Przez chwilę.

Godzina 3.03

Cabel śni.

Są u niego w domu, oboje. Przytulają się na kanapie, grają w halo, jedzą pizzę. Dobrze się bawią. W tle słychać jakieś przytłumione dźwięki. Ktoś jest w kuchni i woła o pomoc. Ignorują go, zbyt dobrze się bawią.

Wołanie robi się coraz głośniejsze.

- Cicho! - krzyczy Cabel. Ale krzyk się wzmacnia. Cabel znowu wrzeszczy, ale nic się nie zmieni. W końcu idzie do kuchni. Janie drepcze za nim.

Cabel krzyczy: „Zamknij się, nie mogę już słuchać o twoich głupich problemach. Dłużej tego nie wytrzymam!”

Na środku kuchni, na białym szpitalnym łóżku leży kobieta.

Jej ciało jest poskręcane, kalekie.

Jest ślepa i wychudzona.

Okropna.

To Janie, gdy będzie stara.

Młodej Janie, tej siedzącej na kanapie, już nie ma. Cabel odwraca się do niej we śnie.

- Pomóż mi - prosi.

Janie patrzy na niego. Lekko kręci głową, chociaż bardzo chce mu pomóc.

- Nie mogę.

- Proszę. Pomóż mi.

Patrzy na niego. Nie może wykrztusić słowa. Wzdryga się i wstrzymuje łzy.

- Może powinieneś się po prostu pożegnać - szepcze.

Cabel przygląda się jej. A potem odwraca wzrok i patrzy na starą Janie. Wyciąga do niej palce.

Zamyka oczy.

Janie walczy i wydostaje się ze snu.

Zastyga bez ruchu.

Dyszy.

Czuje, że cały świat zamyka się wokół niej. Próbuje się ruszyć. Oddychać.

Kiedy wreszcie może się ruszyć, idzie na palcach przez piwnicę Cabela, wchodzi po schodach i wychodzi na zewnątrz. Wraca do swojego małego, dusznego więzienia.

Leży na boku, licząc każdy oddech. Powoli nabiera i wpuszcza powietrze. Wpatruje się w ścianę.

Zastanawia się, jak długo jeszcze zdoła to wszystko ukryć.

Niedziela

6 sierpnia 2006, godzina 10.10

Janie wpatruje się w ścianę.

Po chwili podnosi się z łóżka, by zmierzyć się z kolejnym dniem.

Spotyka w kuchni Dorotheę, która przygotowuje poranny koktajl. Janie nie widziała jej od czasu ich ostatniej rozmowy.

- Cześć - mówi Janie.

Matka burczy coś pod nosem.

Jakby nic się nie wydarzyło.

- Wiesz coś o Henrym?

- Nie.

- Wszystko w porządku?

Matka zatrzymuje się i patrzy na nią spod opuchniętych powiek. Na jej twarzy pojawia się fałszywy uśmiech.

- Jak najlepiej.

Janie znowu próbuje.

- Pamiętasz, że obok kalendarza wisi mój numer telefonu, gdybyś mnie kiedyś potrzebowała? I Cabela. On ci zawsze pomoże, gdyby mnie nie było. Wiesz o tym?

- To ten hipis?

- Tak, mamo. - Janie przewraca oczami. Cabel obciął włosy jakieś parę miesięcy temu.

- Cabel... Co to w ogóle za imię?

Janie ją ignoruje. Żałuje, że w ogóle się odezwała.

- Lepiej, żebyś nie zaliczyła wpadki. Dziecko zrujnuje ci życie. - Matka powoli wraca do sypialni.

Janie patrzy na nią, kręcąc głową.

- Hej, wielkie dzięki - krzyczy za nią. Wyciąga telefon. Czyta wiadomość od Cabela. „Nie słyszałem, jak wychodziłaś. Gdzie zniknęłaś?

Wszystko w porządku?"

Janie wzdycha. Odpisuje. „Obudziłam się wcześniej. Musiałam coś zrobić".

Cabel odpowiada. „Zostawiłaś buty. Chcesz, żebym je przyniósł?”

Janie waha się. „Okej. Dzięki”.

Godzina 11.30

Cabel jest przy drzwiach.

- Może wybierzemy się na przejażdżkę?

Janie mruży oczy.

- Dokąd?

- Zobaczysz.

Janie niechętnie idzie za nim do samochodu.

Cabel wyjeżdża z miasta i jedzie drogą, która przecina pola kukurydzy, a potem wjeżdża w las. Zwalnia i uważnie przygląda się nielicznym zardzewiałym skrzynkom na listy.

- Co ty robisz? - pyta Janie.

- Szukam numeru 23888.

Janie siada prosto i wygląda przez okno.

- Kto mieszka na tym zadupiu? - Jest podejrzliwa.

Cabel znowu mruży oczy. Gdy mijają numer 23766, jeszcze bardziej zwalnia. Zerka w tylne lusterko. Po chwili mija ich jakiś samochód.

- Henry Feingold.

- Co takiego? Skąd wiesz?

- Sprawdziłem w książce telefonicznej.

- Aha. Bystry jesteś - mówi Janie. Nie jest pewna, czy powinna być wściekła, czy podekscytowana.

A może raczej zawstydzona, że sama na to nie wpadła.

Kilometr dalej Cabel skręca w zarośniętą gruntową drogę. Gałęzie drzew uderzają drzwi samochodu. Podskakują na wybojach. Chłopak przeklina pod nosem.

Janie wygląda przez przednią szybę. Przez gałęzie drzew przebijają się promienie słońca, tworząc na drodze jasne pasy. Jakies czterysta metrów dalej, na polanie, dostrzega niewyraźny kształt.

- Czy to dom?

- Tak.

Po paru minutach bardzo wolnej jazdy, zatrzymują się przed niewielkim, zaniedbanym

parterowym budynkiem.

Wysiadają z samochodu. Na pokrytym żwirem podjeździe stoi stare, zardzewiałe kombi z drewnianym wykończeniem. Na masce samochodu stoi pojemnik z herbatą słoneczną.

Janie się rozgląda.

Dookoła małego domku rosną krzewy. Róże pną się na gnijącej kratce. Kilka tygrysih lilii otworzyło w słońcu swoje płatki. Poza tym wokół rosną same chwasty. Przed drzwiami stoi kilka kartonowych pudełek.

Cabel ostrożnie przechodzi przez kłujące krzaki i podchodzi do brudnego okna. Zgląda do środka, próbując dojrzeć coś przez lekko rozchylone zasłony.

- Chyba nikogo tu nie ma.

- Nie powinieneś tego robić - mówi Janie. Czuje się źle. Jest gorąco, a w powietrzu unosi się rój brzęczących owadów. Ponadto właśnie naruszyli czyjąś prywatność. - Boję się tego miejsca.

Cabel przygląda się pudełkom ustawionym przed drzwiami. Patrzy na adresy zwrotne. Podnosi jedno do góry i potrząsa nim. Odstawia je na miejsce, rozglądając się.

- Chcesz się włamać do środka? - pyta z szelmowskim uśmiechem.

- Nie. To nie byłoby w porządku. Mogliby nas aresztować!

- Coś ty, kto będzie o tym wiedział?

- Gdyby Kapitan się o tym dowiedziała, wywaliłaby nas na zbity pysk. Na pewno by nam tego nie darowała. - Janie idzie w kierunku samochodu. - Chodźmy. Mówię poważnie.

Cabel niechętnie wraca do samochodu.

- Nie rozumiem. Nie chcesz się niczego dowiedzieć? W końcu facet jest twoim ojcem. Nie jesteś ciekawa?

Janie wygląda przez okno. Cabel zawraca.

- Próbuję nie być.

- Dlatego że on umiera?

Janie jest pogrążona w myślach.

- Tak. - Jeśli nie będzie o nim myśleć, uda jej się zapomnieć, gdy mężczyzna umrze. Pozostanie dla niej facetem, którego nekrolog ukaże się w gazecie. Nie jej ojcem. - Nie potrzebuję kolejnych problemów.

Cabel wjeżdża na drogę, a Janie po raz ostatni zerka przez ramię. Ale widzi tylko drzewa.

- Mam nadzieję, że te paczki nie zmokną, jak będzie padać - mówi.

- Naprawdę cię to obchodzi?

Przez kilka minut jada w ciszy. A potem Cabel pyta:

- Dowiedziałas się czegoś z jego snu? Po naszym ostatnim nieporozumieniu bałem się pytać.

Janie odwraca się i patrzy, jak Cabel prowadzi.

- Było podobnie jak za pierwszym razem. Trzaski. Kolory. Jakaś kobieta, a potem zobaczyłam Henry'ego. Cały czas siedział na krześle i patrzył na tę kobietę.

- A co ona robiła?

- Nic, stała na środku słabo oświetlonego pokoju. Pomieszczenie wyglądało jak sala gimnastyczna. Nie widziałam jej twarzy.

- A on tylko na nią patrzył? Rany, czuję, że dostaję gęsiej skórki.

- Tak - mówi Janie. Spogląda na migające za oknem rzędy kukurydzy. - Ale wcale nie wydawało mi się to straszne. Czulałam, że jest samotny. A potem... - Janie milknie.

- Co?

- Odwrócił się i spojrzał na mnie. Był chyba nieco zaskoczony, że tam jestem. Prosił, bym mu pomogła.

- Inni ludzie też cię widzą w swoich snach, prawda? Rozmawiają z tobą?

- Tak. Ale... Sama nie wiem. Tym razem było inaczej. Jakby... - Janie próbuje przypomnieć sobie wszystkie te przypadki, które przeżyła. - Najczęściej znajduję się po prostu w czyimś śnie, a ludzie to akceptują i rozmawiają ze mną, jakbym była jedynie rekwizytem. Nie ma prawdziwego porozumienia. Patrzą na mnie, ale mnie nie widzą.

Cabel drapie się po zarośniętym policzku i odruchowo przejeżdża ręką po włosach.

- Nie rozumiem, co to za różnica.

Janie wzdycha.

- Ja chyba też nie. Ale tym razem było inaczej.

- Tak jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzałam cię na przystanku? Byłaś jedyną osobą, która na mnie patrzyła - żartuje Cabel. Ale nie do końca.

- Może. Chociaż bardziej, gdy byłam we śnie pani Stubin, kiedy jeszcze mieszkała w domu opieki. Zapylała mnie wtedy o coś. Jakby wiedziała, że też jestem łowcą snów.

Cabel zerka na Janie, a potem znowu na drogę. Marszczy czoło i przechyla głowę.

- Chwileczkę - mówi. - Czekał, czekał. - Naciska na hamulec i patrzy w jej stronę. - Mówisz poważnie?

Janie przygląda się chłopakowi i kiwa głową. Też się nad tym zastanawiała.

- Janie, myślisz, że ta cała sprawa z łowieniem snów może być dziedziczna? -

Samochód zwalnia i zatrzymuje się na środku polnej drogi.

- Nie wiem - mówi Janie. Nerwowo zerka przez ramię. - Cabe, co ty wyprawiasz?

- Zawracam - mówi. Naciska pedał gazu. - To ważne. Może on coś o tym wie.

Możemy nie mieć już drugiej szansy.

Godzina 12.03

Cabel stoi przed drzwiami do domu Henry'ego i wyciąga z portfela prawo jazdy. Wkłada je w szczelinę drzwi obok klamki i zaczyna majstrować przy zamku. Zaciskając usta, próbuje poruszyć bolec, by mogli wejść do środka.

Janie obserwuje go przez kilka chwil. W końcu wyciąga rękę i chwyta za klamkę. Drzwi się otwierają.

Cabel się prostuje.

- No proszę. Kto w obecnych czasach nie zamyka drzwi?

- Może ktoś, komu właśnie eksplodował mózg? Ktoś, kto mieszka na odludziu i nie ma niczego, co można by ukraść? Jakiś wariat? Może powiedział sanitariuszom, żeby nie zamykali, bo nie miał kluczy. - Janie wchodzi do maleńkiego domku, a Cabel idzie tuż za nią.

- Widzisz? - mówi, wskazując na wiszący na ścianie haczyk z kluczami.

W środku jest duszno. W jednym pomieszczeniu znaj duje się kuchnia, duży pokój i łóżko. W rogu są drzwi, prawdopodobnie prowadzą do łazienki. Na półce słońce radio, a na kuchennym blacie telewizor. Przez otwarte okno, pokryte siatką na komary, wpada do środka fala gorącego powietrza. Cienka, żółta zasłonka powiewu na wietrze. Pod oknem znajduje się stolik ze starym komputerem. Obok kubek i miska. Najwyraźniej stolik służy również do jedzenia. Pod nim stoi szafka z trzema szufladami, która kiedyś była pewnie częścią prawdziwego biurka. Na podłodze leżą porozrzucone kartki papieru.

Pod ścianą, obok tylnych drzwi, znajdują się poskładane kartony. Łóżko jest rozłożone. Na prowizorycznej nocnej szafce, zrobionej z pudełka, stoi niemal pusta szklanka wody.

- Cóż - mówi Janie. - Nie mam co liczyć na jakiś nagły spadek. Wygląda na to, że gość jest biedniejszy od nas.

- To chyba niemożliwe. - Cabel rozgląda się wokół. Podchodzi do biurka. - Chyba że dom do niego należy. Może być coś wart. - Przegląda leżące na biurku rachunki. - Lub... Nie. Znalazłem czek, na którym jest napisane „czynsz”.

- Cholera. - Janie niechętnie dołącza do chłopaka. - Dziwnie się czuję, Cabe. Nie

powinniśmy tego robić.

- Jeżeli chcesz czekać, aż umrze, to nigdy niczego się nie dowiesz. Państwo przejmie jego rzeczy, a właściciel będzie potrzebował lokatora, który zapłaci czynsz. Wszystko to usuną albo sprzedadzą, żeby zapłacić za szpital, i tyle.

- Kurczę, sporo wiesz. - Janie się rozgląda.

- O dziwnych, ale pożytecznych rzeczach?

- Chyba tak. - Janie przechadza się po małym domku. Na telewizorze leżą środki przeciwbólowe. W lodówce jest sporo jedzenia. Ćwiartka mleka, pół bochenka ciemnego chleba, puszka mielonki. Na jednej półce leżą fasola, kukurydza, pomidory i maliny. Janie zerka przez okno i dostrzega małe ogródek, a po drugiej stronie dziko rosnące krzewy z czerwonymi kulkami.

Szafki są prawie puste, nie licząc kilku niepasujących do siebie talerzy i szklanek. Półki pokrywa cienka warstwa kurzu, ale ogólnie jest czysto. W dużym pokoju stoi stary, wysłużony fotel, stolik z drewnianą lampką i duża, prowizoryczna szafka wypełniona kartonami. Dalej regał z książkami. Janie wyobraża sobie Henry'ego, jak siedzi wieczorem w fotelu, czyta książkę albo ogląda telewizję w swoim niemalże przytulnym domu. Zastanawia się, jak wyglądało jego życie. Podchodzi do regału z książkami, na którym stoją zniszczone tomy Szekspira, Dickensa, Kerouca, Hemingwaya i Steinbecka. Są też książki napisane dziwnym alfabetem, chyba hebrajskim. Książki naukowe Janie wyciąga jedną z nich i zagląda do środka. Widzi odręczne pismo, prawdopodobnie jej ojca, pod listą skreślonych nazwisk.

„Henry David Feingold
Uniwersytet Michigan”

Kuca i zaczyna przeglądać książkę, czytając uwagi zapisane na marginesie. Zastanawia się, czy to jego notatki, czy może kogoś innego. Okładka książki jest zniszczona i wypadają z niej kartki, więc odkłada ją na półkę.

Cabel przegląda papiery na biurku.

- Faktury - mówi. - Za różne dziwne rzeczy. Ubraniu dziecięce. Gry wideo. Biżuterię. Nawet śnieżne kule, na miłość boską. Ciekawe gdzie to wszystko trzyma. Trochę to dziwne.

Janie wstaje i podchodzi do chłopaka. Podnosi notatnik i zagląda do środka. Widzi starannie zapisaną listę transakcji. Każda jest inna. Janie zastanawia się i podchodzi do drzwi. Wyciąga do środka paczki i zerka na adresy zwrotne. Porównuje je z adresami z notatnika.

Odgarnia do tyłu włosy.

- Wiesz co, Cabe, wydaje mi się, że prowadzi jakiś sklep internetowy. Kupuje tanie rzeczy i z niewielkim zyskiem sprzedaje w swoim sklepie internetowym. A tam ma chyba dział wysyłek. - Wskazuje na duży regał.

- Może towar kupuje na wyprzedażach.

Janie kiwa głową.

- To dziwne. Studiował nauki ścisłe, a skończył z czymś takim. Może go wyrzucili?

- Biorąc pod uwagę gospodarkę stanu Michigan i stale rosnące bezrobocie, to całkiem możliwe.

Janie się uśmiecha.

- Rany, ale z ciebie kujon. Kocham cię. Naprawdę. Twarz mu się rozjaśnia.

- Dziękuję.

- Cóż... - Janie odkłada notatnik i bierze do ręki wysłużony egzemplarz *Paragrafu 22*. Przegląda książkę, zapominając o czym myślała. Dostrzega wyrwaną kartkę, która służy za zakładkę. Coś jest na niej napisane.

„Morton's Fork”.

Tak jest napisane.

Janie zamyka książkę i odkłada ją na biurko.

- Co teraz?

- Nie widzę tu niczego, co by wskazywało, że jest łowcą snów, a ty?

- Nie. A w moim domu coś byś znalazł?

Cabel się śmieje.

- Zielony notes, notatki o snach leżące na twojej szafce nocnej...

- Szafka nocna - mówi Janie, skubiąc dolną wargę. Podchodzi do łóżka Henry'ego, ale nic nie znajduje. Jest tylko szklanka. Przesuwa nawet materac i wsuwa pod spód rękę, szukając pamiętnika albo dziennika. - Nic tu nie ma, Cabe. Powinniśmy już iść.

- A komputer?

- Nie, nie będziemy tam zaglądać. Naprawdę, chodźmy już. Poza tym widziałeś go, nie jest kaleki ani ślepy.

- Skąd wiesz, że nie jest ślepy? Tego nie wiemy.

- Tak, masz rację - mówi Janie. - Ale ręce miał zdrowe.

- A co pisała pani Stubin w swoim zielonym notesie? Że to się dzieje około trzydziestego piątego roku życia, tak? On ma najwyżej czterdzieści. Może jeszcze się u niego

nie zaczęło.

Janie wzdycha. Nie chce o tym myśleć ani o zielonym notesie. Podchodzi do drzwi i lekko uderza w nie głową. Potem wychodzi na zewnątrz i czeka na Cabela w rozgrzanym samochodzie.

- Do szpitala? - pyta Cabel z nadzieją w głosie, skręcając na drogę.

- Nie. - Głos Janie brzmi stanowczo. - Koniec z tym. Może sobie nawet być królem łowców snów. Ale pewnie nie jest. To zwykły facet, który pewnie by oszalał, gdyby się dowiedział, że kręcimy się po jego domu. - Jest zmęczona.

Cabe kiwa głową.

- Okej, okej. Już milczę. Obiecuję.

Godzina 19.07

Oboje ćwiczą w domu Cabela. Janie wie, że musi być silna. W poniedziałek mają spotkanie z Kapitanem, to oznacza, że pewnie czeka na nich kolejne zadanie, że po raz pierwszy Janie nie czuje podekscytowania.

- Nie wiesz, co Kapitan dla nas szykuje? - Podnosi sztangę.

- Z nią nigdy nic nie wiadomo. - Cabel głośno oddycha, unosząc do góry ciężarkę. - Mam nadzieję, że coś twego.

- Ja też - mówi Janie.

- Wkrótce się dowiemy. - Cabel odkłada sztangę na podłogę. - Nie mogę przestać myśleć o Henrym. To wszystko jest jakieś dziwne.

Janie siada.

- Miałaś o tym nie mówić - przypomina. Drażni się z nim. Ale ciekawość bierze górę. - Czemu tak mówisz?

- Mówiłaś, że nawiązałaś z nim jakiś kontakt, tak jak z panią Stubin, tak? Nie daje mi to spokoju. Gość prowadzi dość dziwne życie. Jak jakiś odludek. Ma wprawdzie to stare kombi, więc pewnie gdzieś jeździ, ale...

Janie patrzy na niego bystrym wzrokiem.

- Hm... - mruczy.

- Może to tylko zbieg okoliczności - mówi Cabel.

- Pewnie tak - odzywa się Janie. - Po prostu jest odludkiem.

- Ale...

Godzina 22.20

- Dobranoc, skarbie. - Cabel szepcze Janie do ucha. Stoją pod jego drzwiami. Janie nie chce u niego nocować. To zbyt trudne. Ciężko byłoby utrzymać to wszystko w tajemnicy.

- Kocham cię. - Janie mówi ze smutkiem. I tak myśli. Naprawdę.

- Też cię kochani.

Janie się odwraca. Wyciąga ręce z jego dłoni. Niechętnie je opuszcza i powoli idzie przez podwórka do domu.

Leży na plecach, nie śpi. A jej myśli dryfują od Cabe'a do wydarzeń z całego dnia. Do Henry'ego.

Godzina 00.39

Nie może przestać o nim myśleć.

Bo jeśli on...

I jak ma się tego dowiedzieć, chyba że...

Janie wysuwa się z łóżka i ubiera. Bierze komórkę, klucze i coś do jedzenia. W autobusie jest tylko kierowca.

Na szczęście nie śpi.

Godzina 00.58

Na szpitalnym korytarzu panuje absolutna cisza. Słysząc jedynie delikatny stukot kłapek Janie. Jakiś sanitariusz z pustym wózkiem kiwa na nią głową, gdy wysiada z windy. Bez wahania otwiera drzwi na OIOM. Światło jest przygaszone i wokół panuje cisza. Po drodze Janie walczy z jakimś snem i ponownie analizuje twój plan.

Oddycha głęboko i otwiera drzwi. Wokół robi się ciemno, a po chwili znowu otaczają ją jaskrawe kolory i niewiarygodny hałas.

Siła snu jest tak potężna, że Janie ląduje na kolanach. Atak na jej zmysły powoduje, że siła przyciągania wydaje się dziesięć razy silniejsza niż zwykle. Janie chwieje się na nogach, jakby chciała uniknąć zderzenia z ogromnymi, jaskrawymi, trójwymiarowymi ścianami, które zmiernają w jej kierunku. Wokół panuje ogromny hałas i trudno jej usłyszeć własne myśli. Czuje się tak, jakby znalazła się w samym epicentrum hałasu.

Po chwili czuje, że drętwieją jej dłonie i stopy. Odwraca się na oślep i czołga do łazienki, żeby w razie potrzeby schować się w środku. Gdy w jej stronę zbliża się jaskrawożółta bryła, Janie rzuca się do przodu, by uniknąć zderzenia i uderza w szpitalną ścianę. Skup się! - krzyczy do siebie. Ale hałas jest przytłaczający. Może jedynie pełznąć do przodu, wdzięczna za to, że w ogóle się jeszcze porusza. Czeką na jakiś przebłysk, cokolwiek, co mogłoby wyjaśnić tajemnicę Henry'ego.

Nie wie, ile dokładnie czasu upłynęło. Nie może się ruszyć.

Nie jest w stanie dalej walczyć. Nie potrafi odnaleźć łazienki i zerwać połączenia.

Czuje się tak, jakby wpadła do lodowatej wody. Jej ciało i umysł nic nie czują. Nawet kolory i trzaski wydają się przytłumione.

Nic się nie liczy.

Nie jest świadoma, że rzuca się po podłodze.

Nie wie, że traci przytomność.

Nic jej to nie obchodzi. Chce się tylko poddać. Chce, by ten koszmar wreszcie ją ogarnął, i wypełnił jej umysł i ciało niekończącym się hałasem i jaskrawym światłem.

I tak się dzieje.

Po chwili wokół robi się ciemno.

A później.

Z ciemności wyłania się obraz szalonego, owłosionego, wrzeszczącego mężczyzny, który jest jej ojcem.

Wyciąga do niej rękę. Jego palce są czarne i zakrwawione, a wzrok obłądny, niewzruszony. Janie jest sparaliżowana. Ojciec zaciska na jej szyi lodowa - | te dłonie, aż w końcu Janie nie może złapać tchu. Nie może się ruszyć, nie może myśleć. Musi pozwolić ojcu, by ją zabił. Mężczyzna coraz mocniej zaciska rękę, a jego twarz przybiera alabastrowy odcień. Zaczyna się trząść.

Janie umiera.

Nie ma już sił, by walczyć.

Już po wszystkim.

Poddaje się, a blada twarz ojca zamienia się w szkło i rozsypuje na drobne kawałki.

Zwalnia uścisk. Jego ciało znika.

Janie opada na ziemię, tuż obok rozsypanych kawałków szkła i próbuje złapać oddech. Przygląda się im, wciągając powietrze. Wreszcie może się ruszyć.

Podnosi się.

Ale w szklanych odłamkach nie widzi twarzy ojca.

Widzi własne przerażone odbicie.

Znowu słyszeć trzaski.

Trwa to bardzo.

Bardzo.

Długo.

Janie zdaje sobie sprawę, że może tu utknąć na zawsze. Na zawsze.

Godzina 2.19

A później. Iskierka życia.

Kobieca sylwetka w ciemnej sali, portret mężczyzny na krześle...

I jakiś głos.

Odległy. Ale wyraźny.

Znajomy.

Głos nadziei w ciemnym świecie.

- Wracaj - mówi kobieta. Ma uroczy, młodo brzmiący głos.

Odwraca się do Janie i wkracza w krąg światła.

Mocno stoi na nogach, a jej spojrzenie jest jasne i błyszczące. Jej palce nie są sękaty, ale długie i piękne.

- Janie - mówi poważnym głosem. - Janie, kochanie, wracaj.

Janie nie wie, jak wrócić.

Jest wyczerpana. Zniknęła. Odeszła z tego świata i znajduje się w miejscu, w którym nie ma żadnej innej ludzkiej istoty.

Z wyjątkiem Henry'ego.

Nagle przed jej oczami pojawia się nowy obraz. Jest spokojnie i cicho. Mężczyzna siedzący na krześle i kobieta stojąca w blasku światła, błagają ją, by wróciła. Kobieta podchodzi do Henry'ego i staje obok niego. Henry odwraca się i przygląda się Janie. Mruga.

- Pomóż mi - mówi. - Proszę, Janie. Pomóż mi.

Janie jest przerażona. Ale nie ma wyjścia. Musi mu pomóc.

To jej dar.

Jej przekleństwo.

Nie potrafi odmówić.

Janie próbuje się skupić i odzyskać pełną świadomość. Boi się, że w każdej chwili może wrócić ten okropny hałas i jaskrawe kolory. Boi się podejść do mężczyzny, który może okazać się szalony i zacząć ją dusić. Chciałaby zebrać w sobie tyle sił, by wydostać się z tego koszmaru, póki jest jeszcze czas. Ale nie robi tego.

Janie z trudem wstaje. Podchodzi bliżej, a wokół słyhać jedynie echo jej kroków. Nie ma pojęcia, co może dla Henry'ego zrobić. Nie wie, jak mu pomóc. Tak naprawdę chciałaby go związać, albo nawet zabić, żeby nie mógł jej już skrzywdzić.

Zatrzymuje się parę kroków przed nim. Przygląda się stojącej obok kobiecie. Nie może uwierzyć własnym oczom.

- To pani - mówi. Czuje olbrzymią ulgę. Usta jej drżą. - Och, pani Stubin.

Pani Stubin wyciąga do niej rękę. Janie oszołomiona tym, że znowu ją widzi, wpada w jej ramiona. Uścisk jest mocny i bezpieczny. Przywraca jej siły, Czując ciepło i miłość kobiety, Janie zalewa fala emocji.

- Już dobrze - uspokaja ją.

- Pani... - mówi Janie. - Pani jest... Myślałam, że już więcej pani nie zobaczę.

Pani Stubin się uśmiecha.

- Od czasu, gdy cię ostatnio widziałam, spędziłam dużo czasu z Earlem. Dobrze jest być znowu w jednym kawałku. - Milknie, a oczy jej błyszczą, odbijając

przytłumione promienie słońca, które wpadają do środka przez maleńkie okna na górze sali. A potem patrzy na milczącego Henry'ego. - Chyba jestem tu ze względu na niego... Żeby zabrać go do domu. Czasami sama nie wiem, dlaczego zostaję wezwana do snu innego łowcy.

Oczy Janie robią się okrągłe.

- Więc to prawda. On naprawdę jest łowcą snów.

- Na to wygląda.

Patrzają na Henry'ego, a potem na siebie. Milczą, myślą. Łowcy snów, razem, w jednym miejscu.

- Kurczę - mruczy Janie. Odwraca się do pani Stubin. - Dlaczego pani o nim nie wspomniała? W zielonym notesie nie było żadnych notatek o żyjących łowcach snów.

- Nie wiedziałam o nim. - Pani Stubin się uśmiecha. - Wydaje mi się, że zanim pójdzie ze mną, będzie potrzebował twojej pomocy. Cieszę się, że jesteś.

- To nie było łatwe - mówi Janie. - Jego sny są okropne.

- Niewiele mu ich zostało - odpowiada pani Stubin.

Janie bierze głęboki wdech.

- To mój ojciec. Wiedziała pani o tym?

Kobieta kręci głową.

- Nie wiedziałam. Więc to dziedziczne. Często się nad tym zastanawiałam. Dlatego nigdy nie miałam dzieci.

- Czy pani? - Janie nagle przychodzi do głowy pewna myśl. - Nie jesteśmy spokrewnieni? To znaczy my wszyscy?

Pani Stubin uśmiecha się ciepło.

- Nie, kochanie. To by dopiero było, co?

Janie śmieje się, wyobrażając sobie to szaleństwo.

- Czy myśli pani, że gdzieś są jeszcze inni? Poza mną?

Kobieta chwyta Janie za rękę i mocno je ściska.

- Teraz kiedy już wiem o Henrym, mam cichą nadzieję, że jest nas więcej. Ale łowców snów bardzo trudno znaleźć. - Chichocze. - Chyba najlepszym sposobem, by ich odnaleźć, to zasnąć w jakimś publicznym miejscu.

Janie przytakuje. Zerka na Henry'ego.

- Jak mam mu pomóc?

Pani Stubin unosi do gry brwi.

- Nie wiem. Ale ty powinnaś wiedzieć. Prosił cię już o pomoc.

- Ja nie rozumiem... A on nic nie mówi. - Janie rozgląda się po niemal pustej sali, szukając wskazówek i próbując się domyślić, co mogłaby zrobić. Nie chce się zbliżać do Henry'ego.

W końcu odwraca się w jego stronę i bierze głęboki wdech, zerkając na panią Stubin, jakby szukała u niej wsparcia.

- Cześć - zaczyna drżącym głosem. Jest zdenerwowana, przestraszona i nie ma pojęcia, co za chwilę się wydarzy. - Jak mogę ci pomóc?

Henry patrzy na nią pustym wzrokiem.

- Pomóż mi - jęczy.

- Ja... Nie wiem jak, ale ty możesz mi powiedzieć.

- Pomóż mi. - Powtarza Henry. - Pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi! Pomóż mi!! - Mężczyzna zaczyna krzyczeć. Janie cofa się, przygotowana na najgorsze, ale on nie rusza się z miejsca. Chwyta się za głowę, wrzeszcząc i wrywając sobie kępy włosów. Wytrzeszcza oczy, a całe ciało wije się w agonii. - Pomóż mi!

Krzyki nie ustają. Janie nie może ruszyć się z miejsca, jest zszokowana i przerażona.

- Nie wiem, co mam robić! - krzyczy, ale jego wrzaski zagłuszają jej słowa. Przerażona, patrzy na panią Stubin, która uważnie wszystkiemu się przygląda. Wydaje się przestraszona.

A potem.

Kobieta wyciąga ręce.

Dotyka ramienia Henry'ego.

Powoli jego krzyk ustaje, a oddech się uspokaja.

Pani Stubin patrzy na Henry'ego, próbuje się skoncentrować. Skupić. W końcu mężczyzna odwraca się w jej stronę i milknie.

Janie się przygląda.

- Henry - mówi pani Stubin łagodnym głosem. - To jest twoja córka, Janie.

Henry nie reaguje. A potem jego twarz wykrzywia grymas.

Obraz natychmiast się załamuje. Pomieszczenie zaczyna się rozpadać na drobne kawałki jak potłuczone lustro. Przez szczeliny przebija się do środka jaskrawe światło. Serce Janie zaczyna walić jak oszałałe. Rzuca przerażone spojrzenie w kierunku pani Stubin i ojca, Chce wiedzieć, czy on rozumie, ale znowu trzyma się za

głowę.

- Nie mogę tu zostać - krzyczy Janie. Zbiera w sobie resztki sił i wydostaje się z koszmaru, zanim znowu ogarną ją hałas i oślepiające kolory.

Godzina 2.20

Wokół panuje cisza. Janie słyszy jedynie brzęczeniu w uszach.

Mijają kolejne minuty. Twarzą dotyka lepkiej szpitalnej podłogi. Nie rusza się, nic nie widzi. Boli ją głowa. Kiedy próbuje się ruszyć, mięśnie odmawiają jej posłuszeństwa.

Godzina 2.36

W końcu Janie odzyskuje wzrok, ale wszystko wydaje się rozmazane. Jęczy, ale za którymś razem udaje jej się podnieść. Opiera się o ścianę i wyciera usta. Na ręce ma krew. Porusza wolno językiem i wyczuwa wewnątrz skaleczenie. Musiała w trakcie koszmaru ugryźć się w policzek. Ostrożnie dotyka szyi. Żołądek podchodzi jej do gardła, kiedy przełyka gęstą od krwi ślinę. Wpatruje się w zegarek. Nie może uwierzyć, że minęło tyle czasu.

Potem odwraca się w stronę Henry'ego. Przejeżdża palcami po swoich potarganych włosach i przygląda się umęczonej twarzy ojca, która ma taki sam wyraz jak we śnie, kiedy nie mógł przestać krzyczeć.

- Co ci jest? - pyta. Jej głos przypomina szum z koszmaru.

Zagryza dolną wargę i znowu przygląda się mężczyźnie. Cały czas ma w pamięci obraz Henry'ego szaleńca, **jest** nieprzytomny, nie może mi nic zrobić, myśli.

Nie wierzy w to, więc powtarza to samo na głos.

- Nic mi nie zrobisz. Trochę to pomaga.

Podchodzi bliżej.

Staje koło łóżka.

Unosi palce nad jego dłonią. Wyobraża sobie, że mężczyzna nagle gwałtownie podskakuje i chwytą ją w swym lodowatym, śmiertelnym uścisku. Rozdziera jej gardło. Dusi. Ale powoli opuszcza rękę i kładzie ją na dłoni Henry'ego.

Mężczyzna się nie rusza.

Jego dłonie są ciepłe i szorstkie.

Takie powinny być ręce ojca.

Godzina 2.43

Już za późno na autobus.

Kiedy odzyskuje siły, lawiruje po szpitalnych korytarzach i wychodzi na ulicę. Powoli kuśtyka do domu.

Poniedziałek

7 sierpnia 2006, godzina 10.35

Łowca snów. Jej ojciec. Tak jak ona.

Niewiarygodne.

Janie wkłada sportowe ciuchy i idzie na przystanek. Dojeżdża do ostatniego przystanku, który znajduje się na samym końcu miasta. Resztę drogi przebiega.

Na wsi czas toczy się wolniej niż w mieście. Janie biegnie, mocno uderzając butami o drogę. Wydaje się, jakby świat stanął w miejscu. Kolejne rzędy kukurydzy chylą się pod ciężarem dojrzałych kolb. Janie biegnie. Widzi brązowe rozmazane łądygi.

Okulary zsuwają jej się na nos. Przypomina sobie, że powinna chłonać wszystko wokół, póki jeszcze może. Na samą myśl, że kiedyś to wszystko straci, robi jej się niedobrze. Próbuje więc wszystko zapamiętać, krok po kroku, aż w końcu jej umysł zaczyna dryfować.

Słyszy rechotanie żab drzewnych i przypomina sobie, że kiedy była małą dziewczynką myślała, że ten dźwięk wydają nie zwierzęta, a wibrujące energią kable elektryczne. Kiedy dowiedziała się, że to żaby, nie mogła w to uwierzyć.

Wciąż nie wierzy.

W końcu nigdy żadnej nie widziała.

Głęboko wdycha nieruchome, wilgotne powietrze i czuje lekki zapach krowiego nawozu. W powietrzu unosi się też mdlawa, słodka woń dzikich kwiatów i ostry zapach świeżo położonego asfaltu.

Gdy dociera do długiego, zarośniętego podjazdu przed domem Henry'ego, czuje, że umysł jej się rozjaśnił. Zwalnia i próbuje się uspokoić.

Nagle słyszy dzwonek telefonu. Ignoruje go. To pewnie Cabel. Musi pomyśleć. Sama. Otwiera drzwi i wchodzi do środka.

Ogarnia ją dziwne uczucie. Zaczyna się trząść, kręci jej się w głowie i czuje, że robi jej się niedobrze. To samo odczuwa człowiek, który znalazł się w cichym, zakazanym miejscu. Janie jest zmęczona i mocno dyszy, przerywając panującą wokół ciszę.

- Porozmawiaj ze mną Henry, ty mój mały dusicielu - mówi cicho Janie. - Pokaż mi, w jaki sposób mam ci pomóc.

Idzie do kuchni, ociera papierowym ręcznikiem spocone czoło i sięga do szafki po szklankę. Odkręca kran. Woda zaczyna bulgotać. Najpierw pojawia się rdzawy strumień, który jednak po chwili przybiera normalny odcień. Janie powoli napełnia szklankę. Pije. Letnia woda jest nieco brudna, ale jej to nie przeszkadza.

Postanawia zająć się komputerem. Uruchamia sprzęt i odkrywa, że podłączony jest do modemu. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że znajdują się na zupełnym odludziu, ale i tak ją to wkurza.

- Porozmawiaj ze mną - mruczy ponownie. Niecierpliwie stuka palcami o stół.

Najpierw przegląda zakładki. Od razu znajduje stronę ze sklepem internetowym Henry'ego i loguje się. Nazwa użytkownika i hasło są już wpisane i nie ma cudnego zabezpieczenia. Janie myszkuje po wirtualnym sklepie o nazwie U Dottie. Znajduje zbieraninę zupełnie różnych przedmiotów, w tym ubranka dla dzieci i niemowląt, drobny sprzęt elektroniczny, książki i szklane figurki. Klika na zdjęcie dziecięcego kombinezonu i czyta opis produktu. Wczytuje się w słowa, które wybrał Henry i dostrzega jego inteligencję, zdolności marketingowe i żyłkę do interesów.

Kilka aukcji jest nadal włączonych, a kilka zakończyło się w czasie, gdy Henry trafił do szpitala.

A potem dostrzega listę komentarzy. Dziewięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych procenta pozytywnych.

Janie nie potrafi określić uczucia, które ją ogarnia.

Oczy zachodzą jej łzami.

Wie tylko, że Henry Feingold ma niemal perfekcyjną statystykę.

Nie pozwoli, by coś ją zepsuło.

Janie wyłącza aukcje. Znajduje przedmioty, które się sprzedały i szuka ich na półkach z towarami. Pakuje rzeczy, a w szufladzie znajduje druczki UPS. Wypełnia je. Zastanawia się, czy powinna zadzwonić po kuriera i znajduje odpowiedni link w ulubionych zakładkach Henry'ego. Zamawia odbiór przesyłki przed godziną siedemnastą. Paczki wystawia na zewnątrz, żeby nie zapomnieć.

Wraca do komputera i przegląda pozostałe zakładki. Forum o polityce, strona o gotowaniu, kilka odnośników do stron marketingowych. Żydowska strona o wakacjach. Ogrodnictwo.

Sny.

I odnośnik do Wikipedii o Widelkach Mortona.

Janie klika.

Czyta.

Odkrywa, że nie chodzi o prawdziwe widelki, ale o pewnego rodzaju dylemat. Podsumowując: wybór po między dwoma równie głównianymi rozwiązaniami.

Janie czyta i dostrzega podobieństwo z *Paragrafem 22*. Zerka na leżącą na stole książkę o tym samym tytule. Marszczy brwi.

- W porządku, panie dziwaku - mruczy. Szybko stuka w klawiaturę, szukając kluczowych słów. - O co w tym chodzi? Jakiego wyboru musiałeś dokonać?

I nagle w połowie słowa przestaje stukać.

Opada na krzesło, przypominając sobie, kiedy ostatni raz czytała o sytuacji podobnej do tej opisanej w *Paragrafie 22*. Zaledwie parę miesięcy temu, w zielonym notesie.

Oczywiście.

Już wie, co Henry wybrał wiele lat temu.

Nie miał do pomocy pani Stubin. Nikt go nie nauczył.

Nie miał nikogo.

Godzina 12.50

Rozmyślenia przerywa warkot nadjeżdżającej furgonetki, od którego drży cały dom. Janie dostrzega samochód przez okno i czuje, że serce zaczyna jej szybciej bić. Wie, że nie powinno jej tu być. Kierowca puka do drzwi i woła przyjaźnie:

- Hej, Henry, musisz to podpisać! Jesteś z tyłu?

Janie waha się i w końcu otwiera drzwi.

- Cześć.

Kobieta kurier przygląda się jej, trzymając w dłoni przygotowane urządzenie do podpisu. Po opalonych policzkach spływają jej kropelki potu, a pod pachami ma mokre plamy. Ubrana jest w firmowe brązowe szorty, a jej opalone nogi pokrywają siniaki i ślady po ukąszeniach. Przez chwilę wygląda na zaskoczoną i zmieszaną, a potem mówi:

- Cześć, skończyłaś osiemnaście lat? Możesz się podpisać.

- Ja... Tak.

- Gdzie jest Henry? Na jakiejś wyprzedaży? Chyba nie, bo jest jego samochód... Cóż, możesz mu powiedzieć, że widziałam ogłoszenie o dużej wyprzedaży u luteranów. W

Washtenaw, w piątek i sobotę. - Wydaje się zdenerwowana.

- Henry... nie będzie mógł tam pojechać. Jest... chory. - Janie czuje, że coś ściska ją w gardle. - Jest w szpitalu, może już z tego nie wyjdzie.

Kobieta wygląda na zaskoczoną. Chwyta za framugę drzwi.

- Do diabła. Nie mówisz chyba poważnie? Czy ty..., Kim jesteś? - Uderza się pięścią w biodro, usiłuje się uspokoić. - Jeśli mogę spytać, to w końcu nie moja sprawa. Ale Henry od lat jest moim klientem. Jesteśmy przyjaciółmi. - Odwraca się gwałtownie i patrzy w stronę lasu, zagryzając usta.

- Mam na imię Janie. Jestem jego córką. - Dziwnie to brzmi.

- Córką? Nigdy nie wspominał, że ma córkę.

- Chyba o mnie nie wiedział.

Kobieta wzdycha.

- Tak mi przykro. Możesz mi powiedzieć, że życzę mu powrotu do zdrowia?

- Jasne. On... jest w śpiączce, ale powiem mu. A może mi pani coś o nim opowiedzieć? To znaczy, dowiedziałam się, że jest moim ojcem, kiedy znalazł się w szpitalu, więc nic o nim nie wiem... - Janie głośno przełyka ślinę.

- Chce pani wody?

- Nie, dzięki. Mam picie w furgonetce. - Odruchowo odpędza od siebie komara, wyraźnie w szoku po tym, co usłyszała. - Henry Feingold to dobry człowiek. Nikomu nie przeszkadza. Może wygląda trochę dziwnie, ale ma złote serce. Zajmuje się swoimi sprawami i mieszka tu zupełnie sam. Ale mówi, że tak jest lepiej. Dużo pracuje przy komputerze, szuka rzeczy do swojego sklepu, chyba kiedyś robił jakiś kurs korespondencyjny. Nie wiem co, ale zawsze ma coś ciekawego do powiedzenia.

- Czy w ostatnim tygodniu mówił może, że źle się czuje?

- Nie, ale jak zwykle bolała go głowa. Czasami dokucza mu migrena. Nigdy nie poszedł z tym do lekarza, Chociaż mówiłam mu, że powinien. Zawsze odpowiadał, że nie ma ubezpieczenia.

- Więc cierpiał na bóle głowy?

- Od czasu do czasu. Czy to... - Kobieta nie kończy, tylko kiwa głową.

- Tak. Miał coś na mózgu. Prawdopodobnie to guz. Chyba sami do końca nie wiedzą.

Kobieta spuszcza wzrok i patrzy na ziemię.

- Strasznie mi przykro. Trzymaj się. Ja... Naprawdę mi przykro. - Podnosi przygotowane przez Janie paczki.

- Dzięki - mówi Janie.

- Gdyby coś się stało, no wiesz, mogłabyś zostawić mi wiadomość na drzwiach? Często tu zaglądałam, czasami nawet dwa razy dziennie, kiedy była popołudniowa wysyłka. Będę wdzięczna. Mam na imię Cathy, przez C.

Janie kiwa głową.

- Postaram się. Hej, Cathy?

- Tak?

Janie się wierci.

- Nie jest przypadkiem niewidomy? Cathy patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Nie - odpowiada. - Nawet nie nosi okularów.

Godzina 13.15

Janie siedzi w starym fotelu i myśli.

Izolacja.

Mieszka tu sam, ma prawie czterdzieści lat i nie jest ślepy ani kaleki.

- O rany - mówi Janie. Głowa opada jej na oparcie krzesła. - Co ja wyprawiam. To przecież logiczne. Jesieni skończoną idiotką.

Jej telefon nie przestaje dzwonić.

- Cześć - burczy.

- Cześć. - Cabel mówi przytłumionym głosem. - Coś się dzieje?

- Musiałam na trochę uciec - mówi Janie. - A co? Co się takiego stało, że nie mogę nawet zniknąć na trzy godziny, bo zaraz wszyscy mnie ścigają? - Jej słowa brzmią ostrzej, niż zamierzała. Ale właśnie zaczynała delektować się ciszą.

Cabel milczy, a Janie się krzywi.

- Przepraszam cię bardzo. Nie to chciałam powiedzieć.

- W porządku - odpowiada Cabel. Jego głos nadal brzmi szorstko. - Dzwonię, żeby zapytać, o której mam po ciebie przyjechać przed spotkaniem z Kapitanem. Jest o drugiej.

Janie siada prosto.

- O kurczę! - Sprawdza godzinę. - Cholera, zapomniałam. - Rozgląda się po pokoju, by upewnić się, że wszystko leży na swoim miejscu i wychodzi, nie zamykając drzwi, tak jak Henry. - Wysłałam... pobiegać. Muszę jak najszybciej wrócić do domu i wziąć prysznic. Może być za pięć drugą?

- Trochę późno. Spóźnimy się. Może podjadę po ciebie teraz i zawiozę cię do domu?

Janie zaczyna biec wzdłuż drogi. Czuje, że mięśnie jej zdrętwiały.

- Nie - mówi. - Możemy się spotkać na miejscu.

- Chcesz jechać autobusem? Kapitan będzie wściekła, miałem cię zawieźć. Wiesz o tym. Janie, daj spokój.

- Cabel wydaje się wkurzony.

Janie biegnie, a głos jej się rwie. Stara się oddychać przez usta, żeby uniknąć kolki, która powoli daje jej się we znaki.

- Wiem - mówi. - Wiem.

- Gdzie jesteś?

Janie zwalnia i zaczyna maszerować.

- Wiesz co, Cabe, myślę, że może... Idź beze mnie - mówi. - Dobrze?

- Co takiego? Janie! Daj spokój. Nie rób tego. Przyjadę po ciebie przed drugą. Zdamy.

Janie się nie zatrzymuje.

- Nie - mówi stanowczo. - Muszę coś zrobić. Za dzwonię do niej i wszystko wyjaśnię. Idź sam.

- Ale... - Cabel wzdycha.

Janie milczy.

- Jak sobie chcesz. - Rozłącza się bez pożegnania. Janie zamyka klapkę telefonu i wsuwa go do kieszeni.

- Boże - wzdycha. - Nie wiem, czy dam radę.

W drodze do domu dzwoni do Kapitana.

- Wszystko w porządku Hannagan?

- Niezupełnie. - Głos Janie drży. - Nie przyjdę dziś, przepraszam.

Cisza.

Janie się zatrzymuje.

- Nie dam rady przyjść na spotkanie. Chyba... podjęłam już decyzję.

W słuchawce słychać skrzypienie krzesła i ciche westchnienie.

- W porządku. Cóż. - Chwila przerwy. - Cabe?

Janie kuca i zamyka oczy. Gryzie palce. Nabiera głęboko powietrza, by opanować drżenie głosu.

- Jeszcze nie - mówi. - Wkrótce. Potrzebuję jeszcze kilku dni, żeby pomyśleć, co robić dalej.

- Och, Janie - wzdycha Kapitan.

Godzina 13.34

Janie stoi na środku drogi, nie wiedząc, w którą stronę ma pójść. Do domu, czy z powrotem do Henry'ego? Rozum podpowiada jej, co powinna zrobić.

Ale kiedy zaczyna jej burczeć w brzuchu, zna już odpowiedź.

Nie mogłaby zjeść niczego z domu ojcu. To nie byłoby w porządku. Powoli idzie na przystanek. Cały czas myśli.

Wie, że musi pożegnać się z Cabelem.

Na zawsze.

Ale nie może sobie tego wyobrazić.

Godzina 14.31

W domu Janie przygotowuje trzy kanapki. Jedną zjada, a pozostałe dwie zawija w folię i wsuwa do plecaka. Pojawia się Dorothea i zaczyna myszkować w lodówce.

- Przygotować ci coś, mamu? - pyta Janie, chociaż tak naprawdę wcale nie chce. - Mogę to zrobić.

Dorothea zbywa propozycję niedbałym machnięciem ręki. Mruczy coś pod nosem i bierze puszkę piwa. Powoli wraca do swojego pokoju.

A potem otwierają się drzwi wejściowe.

- Hej, Janers? Jesteś w domu? To ja, Carrie.

Janie jęczy w duchu. Chce jak najszybciej wrócić do domu Henry'ego.

- Hej, laska. Co słychać?

- Nic szczególnego. - Carrie wparowuje do kuchni i siada na blacie. Macha nogami.

Ma na sobie klapki. - Popatrz na mój pedikiur. Powiedz, nie skręca cię z zazdrości?

Janie skupia wzrok na stopach Carrie.

- Jeszcze jak! Naprawdę nieźle. - Nalewa do butelki wodę z kranu i wrzuca ją do plecaka.

- Wybierasz się gdzieś? - Carrie wygląda na rozczarowaną.

- Tak - odpowiada Janie.

- Do Cabe'a?

- Nie. - Janie wzdycha. W trakcie roku szkolnego, kiedy miała do wykonania zadanie, musiała okłamywać Carrie. Teraz nie chce tego robić. - Potrafisz zachować tajemnicę?

- No wiesz.

Janie się uśmiecha.

- Znalazłam dom Henry'ego. Chcę tam wrócić i czegoś się o nim dowiedzieć.

- Skarbie! - Carrie zeskakuje z blatu. - Mogę z tobą jechać? Zawiozę cię.

- Ech... - zaczyna Janie. Chce być sama, ale po dzisiejszej wyprawie do domu Henry'ego, propozycja podwiezienia tam i z powrotem brzmi zbyt kusząco. - Jasne. A możesz jechać już teraz?

- Zawsze jestem gotowa. Pójdę rozruszać naszą panienkę i spotkamy się przed domem.

Godzina 14.50

- Słuchaj. - Janie siedzi w fotelu pasażera samochodu marki Nova, rocznik 77. - Nie masz na wieczór żadnych planów ze Stu?

- Nie. - Carrie marszczy czoło. Wyjeżdża z miasta, słuchając wskazówek Janie. - Dlaczego każdy mnie o to pyta, za każdym razem, gdy pojawia się gdzieś bez niego?

- Bo zawsze jesteś z nim?

- No i co z tego. Jestem też zupełnie odrębną osobą. Czy nie ma już ciekawszych tematów do rozmowy? Tylko cały czas, gdzie jest Stu?

Janie wychyla głowę przez okno, wystawiając twarz na wiatr. Ma nadzieję, że w pobliżu nie ma żadnych śpiochów.

- Pokłóciliście się?

- Nie - mówi Carrie.

- Okej. To... kiedy zaczynasz szkołę?

Carrie się rozchmurza.

- Zaraz po Święcie Pracy. Będzie czad. Wreszcie! Będę się uczyć tego, czego naprawdę chcę.

- Będziesz najlepsza w klasie, Carrie. Masz wyjątkowy talent do czesania włosów.

- Prawda? - mówi. - Dziękuję. - Na chwilę odwraca wzrok od szosy i patrzy na Janie. Oczy jej lśnią. Może to od wiatru. A może nie.

Janie się uśmiecha. Zarzuca przyjaciółce ręce na szyję i przytula ją. Zapomina, że przyjaciółka wcale nie ma lżej niż ona.

Carrie wjeżdża na wyboistą gruntową drogę. Ethel protestuje i jęczy, ale jadą dalej.

- Mieszka na jakimś cholernym zadupiu. To cholerne Saskatchewan. - Carrie

chichocze.

Janie nie ma siły wyprowadzać jej z błędu. Najbliższa kanadyjska prowincja to Ontario. Poza tym nie jadą nawet na południe.

Kiedy dojeżdżają, Janie natychmiast idzie w stronę domu, a Carrie rozgląda się wokół. Zarośnięte krzaki, mały zniszczony domek, otwarte drzwi.

- Gościu nawet nie zamyka drzwi?

- Nie, przynajmniej nie ostatnim razem.

- Właściwie to nic dziwnego. Nie mieszka w końcu w centrum miasta, no nie? Kto tu w ogóle zagląda? W takich miejscach ludzie albo od razu wyciągają broń, albo zapraszają cię na obiad.

Carrie nie przestaje mówić.

Janie ją ignoruje.

Tak jest dobrze.

Godzina 15.23

Janie od razu podchodzi do komputera. W tym czasie Carrie buszuje po kuchni, podjadając z lodówki maliny, ale Janie nie zwraca na nią uwagi. Wyszła w takim pośpiechu, że nie zdążyła wyłączyć komputera, który i tak budzi się do życia całą wieczność, a potem bardzo powoli łączy się z siecią.

Słyszac dźwięk połączenia, Carrie zagląda Jannie przez ramię.

- Co ty robisz z jego komputerem, Janers? To chyba nie jest w porządku, co? - Dziewczyna stoi w kuchni. Otwiera szafki, podnosi różne przedmioty i odkłada je na miejsce.

- Nie - kłamie Janie. - Jest moim ojcem. Wolno mi.

Carrie wzrusza ramionami i otwiera kolejną szafkę.

Janie zastanawia się nad nazwą sklepu Henry'ego.

- Słuchaj, „Dottie” to chyba skrót od Dorothea, no nie?

- Skąd mam wiedzieć? - mówi Carrie. - Ale chyba tak. Przynajmniej łatwiej się to wymawia.

- Tak - mówi Janie i otwiera kolejne okienko. Sprawdza w Google. - Tak, zgadza się.

- Co? - Carrie siedzi na kuchennej podłodze. Słysząc brzęk garnków.

- Nic - odpowiada z roztargnieniem Janie. - Przestań, cokolwiek robisz. Przez ciebie się denerwuję.

- Co? - krzyczy Carrie.

Janie wzdycha. Trzyma myszkę i nie może się zdecydować. W końcu opuszcza palec i otwiera maile do klientów.

Teraz naprawdę czuje, że zaczyna węszyć.

Ale nie może się powstrzymać.

Janie uśmiecha się, czytając serdeczną korespondencję Henry'ego z klientami. Próbuje go sobie wyobrazić. Żałuje, że nie miała okazji o tym pogadać.

O jego życiu.

Z kuchni dochodzi hałas. Janie podskakuje do góry. Jest wściekła.

- Co ty robisz? Mówię poważnie, lepiej już chodźmy. Jezu, nigdzie nie mogę cię zabrać! - Janie chce się tylko delektować jego słowami. Ale te hałasy doprowadzają ją do szaleństwa.

Carrie stoi na kuchennym blacie, wisząc na drzwiach. Wszystkie szafki są pootwierane. Zerka przez ramię i niewinnym wzrokiem spogląda na Janie, która wpatruje do kuchni, żeby ocenić szkody.

- Uwielbiam, kiedy tak mnie nazywasz.

Janie zaciska usta, powstrzymując śmiech. Wciąż jest wściekła.

Kuchnia ocalała.

Na podłodze leży kilka pustych puszek.

- Zobacz, co znalazłam - mówi Carrie, ściągając z półki pudełko po butach. Zeskakuje.

- Są tam różne karteczki i inne rzeczy! To jak szkatułka wspomnień.

- Przestań! To nie jest w porządku. - Janie nerwowo wygląda przez okno, jakby z powodu hałasu, którego narobiły puszki, miały się pojawić wozy policyjne. - I tak powinniśmy się już wynieść.

- Ale... - zaczyna Carrie. - Słuchaj, musisz to zobaczyć. To wskazówki do twojej przeszłości. Historia twojego ojca. Nie jesteś ciekawa? - Wpatruje się w Janie. - Daj spokój, Janers! Co z ciebie za detektyw? Powinno ci na tym zależeć. Są tu jeszcze jakieś szpilki, monety i pierścione! Ale są też listy...

Janie jest wściekła, ale zerka do pudełka.

- Nie, to zbyt osobiste. To nie... - Głos jej się łamie.

- Janers, daj spokój - szepcze Carrie. Oczy jej lśnią.

Janie nachyla się. Dotyka kilku rzeczy.

- Nie. - Prostuje się. - Przestań już węszyć.

- Co za nuda.

- Wiesz, tak naprawdę to łamiemy prawo.

- Przecież mówiłaś, że...

- Wiem, wiem. Kłamałam.

- Chcesz powiedzieć, że mogliby nas aresztować? Świetnie. Nie pamiętasz, że już raz to przerabiałam i nie mam zamiaru znowu wylądować w kiciu, szczególnie z tobą! Kto by zapłacił za nas kaucję? - Carrie podnosi puszki i wpycha je z powrotem do szafki. - Rodzice by mnie zabili. Stę też. Chryste, Janie.

- Przepraszam. Posłuchaj, nikt nas nie złapie. Nikt nic nie wie. Poza tym jestem jego córką. To by nam na pewno pomogło. Nie żebyśmy miały jakieś kłopoty. - Janie stawia pudełko z pamiątkami na blacie i podaje Carrie pozostałe przedmioty.

Jest wściekła. Żałuje, że w ogóle ją tu przyprowadziła. Potrzebuje побыć sama, żeby skupić się i wszystko przemyśleć. Ale doskonale wie, że czas się powoli kończy. Musi znaleźć sposób, żeby pomóc Henry'emu, zanim on umrze. A w tym pudełku może być jakaś wskazówka.

Janie nie jest złodziejką. Przynajmniej gdy chodzi o rzeczy materialne.

Wzdycha zrezygnowana.

- Chodźmy już, Carrie.

Wychodzą.

Przez chwilę Janie przytrzymuje kłamek.

Godzina 18.00

Janie powoli zmierza w kierunku domu przy Waverley.

Mija beemera.

- Cześć.

Cabel zerka w jej stronę. Siedzi na odwróconym wiadrze i maluje framugę drzwi.

Wyciera spocone czoło o rękaw koszulki.

- Hej - mówi chłodnym głosem.

- Nie zadzwoniłeś przez całe popołudnie.

- I tak nie odbierasz moich telefonów, to po co mam się wysilać?

Janie kiwa głową, przyznając, że zachowała się jak idiotka.

- Jak spotkanie?

Patrzy na nią. Te oczy. Skrzywdziła go.

Wie, co powinna powiedzieć.

- Przepraszam, Cabe. - Naprawdę jej przykro. Tak bardzo przykro.

Wstaje.

- W porządku. Dzięki - wzdycha. - Powiesz mi wreszcie, co się z tobą dzieje?

Janie głośno przełyka ślinę. Przejeżdża palcami po włosach i patrzy na niego.

Przechyla głowę i mocno zaciska drżące usta.

Nie może tego zrobić.

Nie może mu powiedzieć.

Nie może. Nie może powiedzieć: „Odchodzę”.

Więc kłamie.

- To przez tę całą historię z Henrym. I z moją matką. Nie daję już rady. Potrzebuję trochę czasu, żeby sobie to wszystko poukładać. - Wzrok ucieka jej w drugą stronę. Zastanawia się, czy on się domyśla.

Przez chwilę Cabel milczy, ale uważnie ją obserwuje.

- W porządku - mówi ostrożnie. - Rozumiem. Mogę ci jakoś pomóc? - Nachyla się i odkłada pędzel. Schodzi do niej po schodach. Wyciąga rękę i odgarnia z jej twarzy kosmyk włosów.

- Potrzebuję więcej czasu i... przestrzeni. Na jakiś czas. Przynajmniej do chwili, aż coś się wyjaśni z Henrym. - Unosi do góry twarz. Znowu patrzy mu w oczy. Stoją naprzeciwko siebie, twarzą w twarz, i uważnie się obserwują.

Po chwili Janie zbliża się i obejmuje go w pasie. Jego koszulka jest mokra od potu.

- Okej? - pyta ponownie.

Cabel ją przytula.

Całuje ją w czubek głowy i wzdycha.

Godzina 19.48

Janie siedzi na podłodze, oparta o łóżko. Myśli.

Mogłaby położyć się wcześniej spać.

To brzmi kusząco.

Nie.

Godzina 20.01

W autobusie Janie zjada kanapkę. Popija wodą. Ostatnie trzy kilometry, które dzielą ją od domu Henry'ego przechodzi na piechotę. Przynajmniej nie jest już tak gorąco. I cały czas jest widno.

Wieczorem w lesie jest głośniejsze niż w ciągu dnia. Koło ucha przelatuje jej komar. Po drodze cały czas uderza dłonią o nogi i ręce. Gdy dociera na miejsce, jest cała pogryziona. Szczególnie po przeprawie przez długi, zarośnięty podjazd.

W środku jest zdecydowanie chłodniej niż wcześniej. Wieje przyjemny wiatr, a otoczony drzewami dom od kilku godzin znajduje się w cieniu.

- Ach - wzdycha Janie, zamykając za sobą drzwi. Wreszcie spokój. Mały domek, tylko dla niej. Janie rozgląda się wokół i wyobraża sobie, jakby było, gdyby tu zamieszkała i nie musiała obawiać się cudzych snów.

Henry całkiem nieźle to sobie wymyślił. Mały sklepik internetowy, święty spokój, a wokół żywej duszy, z wyjątkiem Cathy z UPS... A kobieta nigdy nie zapadała przy nim w sen.

Myśli o pieniądzach, które przez lata zdążyła zaoszczędzić i tych pięciu kawałkach od pani Stubin. O stypendium. Straci je, jak rzuci pracę i zdecyduje się na izolację. Ale czy nie warto poświęcić stypendium, by ratować wzrok?

Zastanawia się, czy dałaby sobie radę, gdyby miała na przykład mały sklepik internetowy?

Albo.

Może po prostu go odziedziczy?

Czuje, że dostaje gęsiej skórki.

A gdyby tak przejęła wszystko po Henrym?

Rozgląda się wokół, a myśli wirują jej w głowie. Do diabła, przecież mając tak beznadziejną matkę, właściwie sama prowadzi dom. Wie, jak to się robi. Trzeba zapłacić czynsz, zrobić zakupy. Czy ktokolwiek by w ogóle zauważył, gdyby tu zamieszkała?

- Czemu nie? - szepcze.

Janie pociąga z butelki łyk wody i siada w starym, zniszczonym fotelu, otoczona dźwiękami nocy. Jest pogrążona w myślach. Nagle opcja izolacji opisana w zielonym notesie pani Stubin nie wydaje jej się taka zła.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - mówi cicho. Wokół nie ma żywej duszy. - Już

nigdy nie zostałabym wessana w żaden sen. - Uśmiecha się, bo to brzmi wspaniale.

Ale po chwili przestaje.

- Może nawet mogłabym nadal widywać się z Cabelem - szepcze.

Wyobraża sobie kolacje przy świecach, albo wspólne obiady, gdyby udało mu się urwać z zajęć. Spędzaliby razem kilka godzin dziennie. Byle nie w nocy.

To brzmi nieźle.

Przez jakieś pięć minut.

A potem myśli o kolejnych latach.

Za nic w świecie nie mogliby razem mieszkać.

Nie byłoby dzieci, rodziny, nigdy. Janie nie mogłaby ryzykować, gdyby chciała zachować wzrok. Śpiące dziecko by ją wykończyło. Poza tym nie miała zamiaru przekazywać nikomu swoich przeklętych umiejętności.

Już się z tym pogodziła.

Ale co na to Cabe?

Jego przyszłość w pigułce:

- mieszka gdzie indziej
- parę godzin dziennie spędza w małym domku
- nigdy się nie żeni
- nigdy nie ma dzieci
- nigdy nie spędza nocy z kobietą, którą kocha.

Wyobraża sobie ich wspólne chwile, jakby to było, dzień za dniem. Staliby w miejscu. Cabel przychodziłby na dwie godziny dziennie, próbując pogodzić obowiązki w szkole, domu i w pracy.

I musiałby patrzeć, jak jej stan się pogarsza. Musiałby przez to przejść. Janie wie, że to byłoby dla niego piekło.

Jak godziny odwiedzin w Heather Home.

Wkrótce zaczęliby rozmawiać o krzyżówkach i pogodzie.

Ale on by się na to zdecydował. Zostałby z nią. Chociaż zniszczyłoby mu to życie.

Taki już jest.

Janie uderza pięścią w fotel.

Głowa opada jej do tyłu.

Szepcze do pustego pokoju:

- Nie mogę tego zrobić.

Godzina 21.30

Janie przegląda rzeczy Henry'ego. Papiery firmowe, liściki, listy zakupów. Ulotki o migrenie. W Internecie znajduje mnóstwo zakładek ze stronami medycznymi i radzeniu sobie z bólem.

Zastanawia się, czy gdyby był ubezpieczony i gdyby udało im się wcześniej wykryć tego guza, czy tętniaka, czy cokolwiek to było... Czy nadal by żył?

Ale wtedy by go nie poznała.

Przypomina sobie, jak rwał włosy i trzymał się za głowę. Pamięta ten wyraz cierpienia na jego twarzy. Zastanawia się, czy leżąc bezradnie w miejscowym szpitalu, wciąż odczuwa ten okropny ból. Myśli o tym, jak błagał ją o pomoc. Wpatruje się w słowa widoczne na ekranie i mówi:

- Chciałabym ci jakoś pomóc Henry. Mam nadzieję, że wkrótce odejdziesz i przestaniesz cierpieć.

Janie odkleja rozgrzane uda od plastikowego kuchennego krzesła i rozgląda się po małym salonie. Wyobraża sobie ojca żyjącego w tym małym przytulnym domku, z dala od hałasu i ludzi.

Idzie do kuchni. Na blacie wciąż leży pudełko, które znalazła Carrie. Janie czuje pokusę, by zajrzeć do środka i przejrzeć listy. Przez otwarte okno wieje wiatr. Ale.

Są dwie sprawy.

Nie chce czytać intymnych listów miłosnych napisanych przez jej, pożałuj Boże, matkę alkoholicką.

I nie chce jeszcze bardziej litować się nad Henrym.

Czuje, że ma już dość zmartwień. Dość kłopotów. Dość tego, że zawsze gdy poznaje kogoś, kto jest w stanie ją zrozumieć, on zaraz odchodzi.

Z przyjemnością przejmie obowiązki ojca. Ale nie będzie go kochać. Jest już za późno. I tak właściwie już odszedł. Poza tym i tak ma wystarczająco dużo zmartwień.

Janie bierze głęboki wdech i kręci głową. Chowa pudełko do szafki, z której wyjęła go

Carrie.

Sprząta dom. Chce, by wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy była tu po raz pierwszy. Wyłącza komputer, gasi lampę i przez chwilę stoi w ciemności, wsłuchując się w ciszę. Tego właśnie pragnie. By w jej życiu panował taki spokój. I wie, że po śmierci Henry'ego będzie to możliwe. Tutaj nie musi się pilnować. Może żyć bez obawy, że zostanie wessana w czyjś sen.

Marzy tylko o tym, bardziej niż o czymkolwiek innym. Bardziej niż o Cacie.

Może to jest właśnie sposób na przetrwanie.

A może jest po prostu typem samotnika. Tak przecież było, dopóki nie poznała Cate'a. Zawsze będzie samotnikiem.

Na to wygląda.

Ponownie siada w starym fotelu, otoczona ciemnością. Czuje się jak w sanktuarium. Zastanawia się, jak będzie wyglądało jej życie. Jak będzie opiekować się matką i dlaczego w ogóle musi o tym myśleć. Może czas najwyższy, by Dorothea sama zaczęła się o siebie troszczyć. Może w ten sposób Janie ułatwi jej sprawę.

Mogłaby wieść spokojne życie i zachować wzrok. Spogląda na swoje palce, które rzucają długie cienie w świetle gwiazd. Porusza nimi, a cienie zaczynają tańczyć.

Uśmiecha się.

Chociaż Kapitan poczuje się rozczarowana i cofnie jej stypendium, Janie wie, że nigdy nie będzie obwiniać jej za to, że chciała wieść normalne życie. Głęboko w środku wie, że wszystko się ułoży.

Będzie jej brakowało Kapitana i kolegów. To pewne.

- Cóż - mówi cicho, prostując i zginając palce. - Podjęłam już decyzję. Izolacja. Taki jest mój wybór.

Boże, jak cudownie jest powiedzieć to na głos.

Chociaż to trochę przerażające.

Pozostał jeszcze jeden szczegół, który Janie musi wyjaśnić, zanim całkowicie zrezygnuje z cudzych snów. Ostatnia zagadka do rozwiązania.

Taki powinien być koniec. Chociaż będzie to pewnie najgorszy koszmar, jaki przeżyła w życiu.

Janie głęboko oddycha i wypuszcza powietrze. Boi się iść do szpitala o wiele bardziej niż wtedy, gdy wybierała się na imprezę do Durбина. Bardziej niż wtedy, gdy ten dziwny chłopak o imieniu Cabel po raz pierwszy zasnął w szkolnej bibliotece i śnił o potworze z nożami zamiast palców.

Ale.

Ale.

Ale to ostatnia szansa, by na zawsze pożegnać się z panią Stubin.

I zamknąć za sobą drzwi. Chociaż to cholernie bolesne.

Ale Janie doprowadzi sprawę do końca. Znajdzie sposób, by pomóc Henry'emu i to szybko, nawet jeżeli miałyby umrzeć.

Eee...

No może niekoniecznie umrzeć. To by wszystko zepsuło. Tak.

Henry

Wciąż poniedziałek, godzina 22.44

Droga na przystanek jest długa i ciemna. Na niebie raz za razem pojawiają się błyskawice, a w pobliżu słychać grzmoty. Powietrze jest gęste od wilgoci. Ale nie pada.

Janie ma już dość komarów.

Zjada kanapkę i batonik Power Bar. Gromadzi zapas energii, szykując się na ciężką noc. Zastanawia się, czy Henry jeszcze żyje.

Godzina 23.28

Na korytarzu jak zwykle panuje cisza, a drzwi są pozamykane. Janie macha ręką do Miguela i podchodzi do jego biurka.

- Coś nowego?

Pielegniarz kręci głową.

- Lekarz uważa, że to już nie potrwa długo - mówi.

Janie przytakuje.

- Pewnie zostanę na noc... Posiedzę przy nim. W porządku?

- Jasne, skarbie. - Sięga ręką pod biurko. - Masz tu koc, na wypadek gdyby zrobiło ci się zimno. Wiesz, że fotel się rozkłada?

Janie nie wie. Bierze koc.

- Dziękuję.

Idzie prosto do pokoju Henry'ego. Na chwilę zatrzymuje się przed drzwiami i bierze kilka głębokich wdechów

- Pora zaczynać - szepcze i otwiera drzwi. Szybko zamyka je za sobą i opada na podłogę.

Tym razem jest inaczej.

Janie od razu zostaje wciągnięta w koszmar. Jest w tym samym miejscu co przedtem. Słyszy, jak Henry krzyczy.

- Pomóż mi! Pomóż! - woła bez przerwy.

Kiedy podchodzi bliżej, Henry odwraca się w jej stronę i znowu zaczyna krzyczeć. Pani Stubin spokojnie stoi obok i czeka, aż to się skończy. Wygląda na

zmęczoną, chociaż znajduje się przecież w niebiańskim stanie.

Janie nie traci ani chwili.

- Henry! - krzyczy. - Chcę ci pomóc! Jestem tu, żeby ci pomóc. Ale nie wiem, co robić. Możesz mi powiedzieć?

Ale on nie przestaje krzyczeć.

Janie odwraca się do pani Stubin.

- Dlaczego pani nie odejdzie?

- Nie mogę. Dopóki nie będzie gotowy.

Janie wydaje z siebie jęk. Zdaje sobie sprawę, że teraz odpowiada nie tylko za spokój swojego rozwrzeszczanego, ledwo żywego ojca, ale również za szczęście pani Stubin. Zakrywa uszy. Jest wściekła i coraz bardziej przerażona z powodu tych wrzasków. To jest naprawdę denerwujące. I bolesne. Czuje, że ból przeszywa całe jej ciało.

Henry wstaje i podchodzi do niej. Janie cofa się, cała jest spięta. Boi się, że nagle chwyci ją za szyję i zacznie ją dusić. Ale nie robi tego.

- Pomóż mi! Pomóż! - krzyczy jej do ucha, aż huczy jej w głowie. Janie rusza z miejsca, a on idzie za nią. W jego głosie słychać błaganie. Pada na kolana i chwyci ją za rękę, ciągnie, krzyczy. Błaga o pomoc.

Głos mu się urywa, traci nad nim kontrolę.

Janie nie wie, co robić.

- Powiedz mi, co mam zrobić! - krzyczy.

Henry zaczyna krzyczeć jeszcze głośniej.

Pani Stubin cały czas czeka i obserwuje ich z litością w oczach.

- Chyba nie potrafi - mówi, ale Janie jej nie słyszy.

Wie, że długo nie wytrzyma. Nie może się ruszyć.

Jej prawdziwe ciało zniknęło, a to ze snu wyje z bólu. Nic nie może dla niego zrobić...

Nic nie przychodzi jej do głowy.

Zwraca się do pani Stubin.

- Może pani jednak spróbuje? Tak jak ostatnim razem?

Pani Stubin kiwa głową i podchodzi do Henry'ego. Kiedy się porusza wygląda tak, jakby unosiła się nad podłogą.

- Henry. - Kładzie mu ręce na ramionach.

Krzyki słabną.

Pani Stubin się koncentruje. Rozmawia z nim w myślach. Uspokaja.

Henry milknie.

Pani Stubin prowadzi go z powrotem do krzesła i przywołuje Janie.

- Tak - mówi z uśmiechem pani Stubin. - Tak jest o wiele lepiej, Henry.

Mężczyzna trzyma w dłoniach kępy wyrwanych włosów. Pokazuje je Janie. A ona kiwa głową.

- Boli cię głowa, prawda?

- Tak - Henry krzywi się, jakby mówienie sprawiało mu ból. - Boli.

- Nie wiem, co robić - mówi Janie. - Jak mogę ci pomóc?

Henry patrzy na nią. Kręci głową.

- Chcę umrzeć. Proszę, możesz mi pomóc?

- Nie wiem. Spróbuję... Ale nie zrobię niczego, co jest niezgodne z prawem, rozumiesz?

Kiwa głową.

- Gdzie my jesteśmy? - pyta Janie. - Czy to twój sen? Ta ciemna sala? To jest to?

Henry wstaje.

- Chodźcie.

Kiwa palcem, żeby za nim poszły. Otwiera podwójne drzwi, które prowadzą na zewnątrz. Przechodzą przez korytarz. Po obu stronach znajdują się drzwi.

Wchodzą do pierwszego pokoju.

To synagoga.

Jakiś chłopiec wije się w konwulsjach na ławce. Siedzący obok ojciec upomina go.

- To ty jesteś tym chłopcem, prawda? - pyta Janie.

- Tak.

- To wspomnienie?

- W pewnym sensie. To mój sen, moje życie, w kółko i w kółko.

Idą do następnej sali. Na zewnątrz stoi kolejka ludzi. Henry, pani Stubin i Janie przeciskają się przez tłum i wchodzą do środka. To pizzeria. Przechodzą obok stolików, przy których siedzą roześmiani ludzie. Idą prosto do kuchni, do chłodni. Tam w rogu stoi Henry, nachyla się nad jakąś dziewczyną. Całują się.

Janie przygląda się.

- Kto to jest?

Henry patrzy na nią.

- To Dottie.

- Masz na myśli Dorotheę Hannagan? - Janie nie może w to uwierzyć, chociaż zdawała sobie sprawę, że w którymś momencie musieli się przecież całować.

- Tak - wzdycha Henry. - Jedyna miłość mojego życia.

Janie ma ochotę wymiotować.

Pani Stubin przerywa ich rozmowę.

- Powiedz nam, co się stało, Henry. Pomiędzy tobą a matką Janie. Powiesz nam?

Henry wygląda na zmęczonego. Poza tym jest bardzo zimno.

- Nie ma dużo do opowiadania.

- Proszę, Henry - mówi Janie. Chce to od niego usłyszeć. Chce wiedzieć, że dobrze postępuje.

- Któregoś lata pracowaliśmy razem w Chicago. Ona była wtedy w szkole średniej, a ja studiowałem na Uniwersytecie Michigan. Jesienią wróciłem na uniwersytet, a ona rzuciła szkołę i pojechała za mną. Zamieszkaliśmy razem. To było okropne. Te sny. Musiałem wybierać. Mogłem albo z nią zostać i być nieszczęśliwym, albo jakoś funkcjonować, ale oddzielnie. - Znowu zaczyna rwać włosy. - Do diabła. - mówi. - To znowu wraca.

- Więc zostawiłeś ją samą? Wiedziałeś, że była w ciąży?

- Nie wiedziałem. - Zaczyna mówić coraz głośniejszym głosem, próbując przekrzyczeć narastający w głowie hałas. - Janie, nie wiedziałem. Tak mi przykro. Wysyłałem jej pieniądze, ale ona ich nie chciała. Przepraszam.

Kuca, obejmując się za głowę.

- Nie żałujesz, że tak postąpiłeś? Że się odizolowałeś? - Janie siada obok niego na podłodze. Za wszelką cenę chce znać odpowiedź. Teraz.

- Pomóż mi - jęczy. - Pomóż mi! - Chwyta ją za koszulkę. - Proszę Janie, proszę, pomóż mi! Zabij mnie! Proszę!

Janie nie wie, co robić. Pani Stubin za wszelką cenę próbuje go uspokoić, ale nie może.

- Dobrze zrobiłeś? - krzyczy Janie. - Dobrze? To było najlepsze wyjście?

- Nie ma dobrego wyjścia. To jak Widelki Mortona. - Henry z krzykiem opada na podłogę. - Pomóż mi! Boże, pomóż mi!

Janie z przerażeniem patrzy na panią Stubin i dostrzega powstające na obrazie rysy. Kawałki snu zarzynają się odrywać. W oddali słychać narastający szum.

- Cholera. Nie mogę tu zostać.

- Idź! - krzyczy pani Stubin.

Na krótką chwilę chwytają się za ręce. Patrzą sobie w oczy. Janie próbuje dać jej do zrozumienia, że już nie wróci.

Nie jest pewna, czy jej się udało.

Ale musi już iść, zanim znowu znajdzie się w pułapce.

Skupia się i resztkami sił, przenika przez barierę snu.

Janie leży na podłodze. Cała się trzęsie. Próbuje się poruszyć, dotknąć swojej skóry, coś zobaczyć. Cały czas myśli o pani Stubin i desperacji Henry'ego, które go pokonały własne demony.

Och.

Pani Stubin.

Co za okropne pożegnanie.

Janie powoli się podnosi i siada na krześle obok łóżka Henry'ego. Czuje, że bołą ją stawy, a nawet zęby. Zastanawia się, co dzieje się z jej ciałem, gdy przeżywa taki koszmar.

Ale teraz to już nie ma znaczenia.

Skończyła z tym.

Mocno owija się kocem, żeby powstrzymać trudno do opanowania wstrząsy. Nie może patrzeć na skrzywioną twarz Henry'ego. Od czasu jej ostatniej wizyty ułożył się w pozycji embrionalnej, z rękoma wokół głowy, jakby chciał obronić się przed niewidzialnymi potworami, które wzięły go w niewolę. Janie wyciąga dłoń i bierze go za rękę.

Błaga.

- Proszę, odejdz już. Proszę. - Szepcze w kółko. Błaga go by odszedł, a jego niewidzialnych prześladowców, by dali mu spokój. - Nie wiem, jak ci pomóc. - Chowa twarz w dłoniach. - Proszę, proszę, proszę... - Jej słowa rytmicznie unoszą się w powietrzu jak gałązki wierzbowe odbijających się o fale nad brzegiem jeziora Fremont.

Ale Henry nie umiera.

Zegar odmierza kolejne pół godziny. Ciemny, cichy pokój wydaje się odcięty od reszty świata. Janie wyciąga z plecaka ostatnią kanapkę, chcąc odzyskać resztkę sił. I żeby zabić czas, zaczyna rozmawiać z ojcem.

Opowiada mu o Dorothei, bardzo ostrożnie dobierając słowa, by nie powiedzieć niczego zbyt negatywnego. Wie, że w tym stanie ojciec nie potrzebuje kolejnych zmartwień. Mówi też o sobie. Opowiada o rzeczach, o których nie mówiła nikomu. O tym, jaka jest samotna.

Mówi, że nie ma mu za złe tego, że nigdy jej nie poznał. Opowiada o swoim sekretnym życiu łowcy snów, że jest taka sama jak on. Że go rozumie. Że nie jest szalony i nie jest sam. Opowiada mu o wszystkim, o snach, o pracy, o pani Stubin. O tym, że ma zamiar z tym skończyć i prowadzić ciche, spokojne życie, tak jak on.

- Zrobię to samo, Henry - mówi. - Odejdę, tak jak ty. Pewnie nawet nie wiedziałeś, co nam grozi, prawda? Że można stracić całkowicie wzrok i władzę w rękach?

A potem mówi, że rozumie, dlaczego tak postąpił z Dottie, pomimo że bardzo ją kochał. Rozumie ten okropny wybór. Mówi mu o Cabie. O tym, jak bardzo go kocha. Jaki jest dobry i cierpliwy. Jak bardzo boli ją decyzja o izolacji.

Jak bardzo się boi mu o tym powiedzieć.

Boi się pożegnać.

To niesamowite, że jest ktoś, kto jest taki sam jak ona.

Ktoś, kto rozumie.

Nawet jeśli nie może odpowiedzieć.

Nagle Janie czuje, jak wiele czasu zmarnowała w ciągu tych ostatnich kilku dni. Mogła być tu z Henrym.

Przyznaje, że, gdy dowiedziała się o wszystkim, było jej bardzo ciężko. Płacze.

Mówi przez całą noc.

Tak długo, aż czuje, że już niczego nie powie.

Wyraz twarzy Henry'ego się nie zmienia. Mężczyzna się nie rusza.

W końcu Janie jest już zbyt zmęczona, by myśleć. Zasypia, zwinięta w fotelu.

Wokół panuje cisza.

Godzina 4.51

Janie śni.

Jest w swoim pokoju, siedzi na łóżku i nie wie, co się dzieje. Język ma suchy i spieczony. Oblizuje usta, które pokrywa warstwa piasku. Kiedy sięga ręką, by wytrzeć brud, buzia jej się otwiera. Łamiał się zęby i zaczynają wypadać. Kruszą się. Ostre końce ranią ją w język i usta.

Janie jest przerażona. Wypluwa na rękę kawałki pokruszonego szkliwa, ale cały czas pojawia się nowe. Zdesperowana, rozgląda się wokół, ale wszystko się rozmazuje. Jak w filmie. Jakby chciała coś zobaczyć na zaparowanej szybie lustra albo przez ścianę wodospadu. Rzuca zęby na łóżko i przeciera oczy, próbując coś zobaczyć. Ale jest ślepa.

- Odchodzę - krzyczy. - Nie mogę oślepnąć! Nie! Nie jestem gotowa! - Dotyka oczu i wyczuwa pod palcami puste oczodoły. Coś z nich wystaje.

Chwyta za to i ciągnie.

Ze szpar wydostają się kawałki mydła.

Oczy ją swędzą i pieką jak diabli. Przeciera je i wyjmuje kolejne kawałki, ale cały czas pojawiają się nowe. Wyciąga je i przejeżdża językiem po dziąsłach. Wyczuwa krew.

- Nie! - krzyczy.

W końcu wyciąga ostatni fragment mydła i odzyskuje wzrok. Z ulgą rozgląda się wokół.

A tam.

Henry.

Siedzi na krześle. Obserwuje ją ze spokojnym wyrazem twarzy.

Janie patrzy na niego.

I po chwili już wie, co powinna zrobić.

- Pomóż mi. Pomóż mi, Henry.

Mężczyzna wygląda na zaskoczonego. Wstaje i posłusznie podchodzi do Janie. A ona pokazuje mu garść zębów.

- Wiesz, możesz mi pomóc to zmienić. Mogę je włożyć z powrotem?

Patrzy w jego oczy i widzi w nich zachętę. Henry kiwa głową. Janie uśmiecha się lekko, również kiwając głową. Wkłada zęby z powrotem na miejsce, jakby to były

klocki lego. Kiedy kończy, klepie ręką łóżko i się uśmiecha.

Henry siada.

- Jesteś taka jak ja - mówi.

- Tak.

- Słyszałem, co mówiłaś. Przepraszam.

- Cieszę się. Nie musisz przepraszać. Nie wiedziałeś. - Patrzy na jego puste krzesło.

Henry przygląda się jej.

- Żałuję, że nie mogłem cię poznać.

Janie powstrzymuje łzy.

Henry bierze ją za rękę.

- Tęsknię za nią, za Dotty. Jest dla ciebie dobra? Jest dobrą matką?

Janie długo wpatruje się w jego rękę. Nie wie, co powiedzieć. W końcu wzrusza ramionami.

- Wysłałam na ludzi - mówi.

Spogląda na jego twarz.

Uśmiecha się przez łzy.

Godzina 6.10

Drzwi do pokoju Henry'ego się otwierają.

Pielęgniarka z porannej zmiany przysła sprawdzić jego stan. Janie budzi się, siada na krześle i przeciera oczy.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. - Pielęgniarka się uśmiecha. - Chyba przydałoby ci się więcej snu.

Janie uśmiecha się i przeciąga. Zerka na Henry'ego. Pamięta. To było dziwne. Po raz pierwszy ktoś odwiedził ją w jej śnie.

Głęboko wciąga powietrze. Wstaje z krzesła, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- On - mówi do pielęgniarki, która właśnie zbiera się do wyjścia - wygląda jakoś inaczej. Jego twarz.

Pielęgniarka zerka na Henry'ego, a później na kartę.

- Naprawdę? - Uśmiecha się z roztargnieniem. - Mam nadzieję, że lepiej.

Janie cały czas wpatruje się w Henry'ego.

Jego ciało wydaje się rozluźnione, a z twarzy zniknął wyraz bólu. Nie zaciska pięści, a

ręce ułożył przy głowie. Wygląda spokojnie. Cierpienie zniknęło.

Pielęgniarka wzrusza ramionami i wychodzi. Janie cały czas się przygląda. Jest szczęśliwa, że widzi go w lepszym stanie. Ma nadzieję, że nie męczą go już te koszmarne sny. Przez chwilę zastanawia się, czy istnieje szansa, by z tego wyszedł.

Jednak wie, że tak naprawdę ma szansę wreszcie umrzeć.

Godzina 6.21

Janie obmyśla w głowie plan. Wchodzi do łazienki i zamyka za sobą drzwi. Wie, że nie ma wiele sił, ale to jedyne, co może teraz zrobić, żeby nie wpaść w pułapkę.

Otwiera drzwi i natychmiast zostaje wessana w sen. Powoli. Spokojnie. Wokół nie słychać już trzasków i nie widać jaskrawych, przytłaczających ścian.

Znajduje się w ciemnej sali gimnastycznej. Pojedyncze promienie światła wpadają do środka przez wysokie okno.

Sale na korytarzu są puste.

Nie ma pani Stubin ani Henry'ego.

Jest tylko jego krzesło.

A na nim kartka.

„Droga Janie,

Wiele od ciebie żądano. A jednak jesteś silniejsza, niż myślisz.

Do następnego spotkania.

Martha

PS Henry chce, żebyś rozważyła widełki Mortona”.

Godzina 6.28

Janie zamyka drzwi za swoim ostatnim snem.

Odzyskuje siły i wydostaje się na zewnątrz. Powolnym krokiem idzie przez korytarz i wychodzi z budynku. Idzie prosto na przystanek i jedzie do domu, gdzie od razu rzuca się na łóżko.

Wtorek

8 sierpnia 2006, godzina 11.13

Janie budzi się zrana potem, jakby przebiegła maraton. Policzek przykleił jej się do poduszki. Włosy ma mokre. W domu jest co najmniej sto stopni.

Na dodatek umiera z głodu.

Umiera.

Idzie do kuchni i otwiera lodówkę. Zjada wszystko, co wpadnie jej w ręce. Przystawia do policzka zimny dzbanek z mlekiem, żeby się trochę ochłodzić i pociąga długi łyk mleka. Bierze kostkę lodu i przesuwają ją po szyi i ramionach.

- Boże Wszechmogący - mruczy, chwytając szybko pojemnik ze spaghetti i Mopsikami. - Potrzebuję powietrza!

Piętnaście minut później jest już pod prysznicem. Odkręca zimną wodę, ale wie, że jak tylko wyjdzie, znowu zacznie się pocić.

Kiedy zakręca wodę i wychodzi, słyszy, jak matka rozmawia przez telefon. Janie zamiera w miejscu i słucha, a potem okręca się ręcznikiem, zawiązując go na piersiach i otwiera drzwi od łazienki. Z jej włosów kapie woda.

Dorothea, ubrana jedynie w koszulę nocną, właśnie odkłada słuchawkę. Odwraca się, by spojrzeć na Janie. Jej blada jak księżyc twarz wygląda na zmęczoną i starą.

- Nie żyje - mówi tak po prostu. Wzrusza ramionami. - Najwyższy czas.

Wraca do sypialni, szurając nogami, ale Janie widzi, jak drżą jej usta.

Stoi na korytarzu, ociekając wodą. Czuje się otępiała.

- Nie żyje - powtarza. Opiera się o ścianę i osuwa w dół. Siada na podłodze. Przechyliła do tyłu głowę, aż uderza nią o ścianę. - Mój ojciec nie żyje.

Nadal jest otępiała.

Już po wszystkim.

Po paru minutach Janie wstaje i, nie pukając do drzwi, wmaszerowuje do pokoju matki. Dorothea siedzi na łóżku i szlocha.

- Co teraz zrobimy? - pyta Janie. - Chodzi mi o pogrzeb.

- Nie wiem - mówi Dorothea. - Mówiłam im, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Sami się tym zajmą.

- Co takiego? - Janie ma ochotę krzyknąć. Idzie, żeby zadzwonić do szpitala, ale nagle

się zatrzymuje. Odwraca się do matki i bardzo spokojnym głosem mówi. - Zadzwoń do nich i powiedz, że Henry był żydem. Musi się nim zająć żydowski dom pogrzebowy.

Janie zerka na niewielką szafę matki.

- Czy ty masz choć jedną przyzwoitą sukienkę? Masz?

- Po co mi sukienka?

- Na pogrzeb - odpowiada stanowczo Janie.

- Nigdzie się nie wybieram - mówi Dorothea.

- A właśnie, że tak. - Janie jest wściekła. - Pójdziesz na pogrzeb mojego ojca. On cię kochał przez te wszystkie lata. Może nie rozumiesz, dlaczego odszedł, ale ja wiem. On cię nadal kocha! - Janie dławi się, rozumiejąc swój błąd. - Kochał - poprawia. - A teraz dzwoń do szpitala, zanim zrobią z nim niewiadomo co. A palem do domu pogrzebowego.

Dorothea wygląda na zmieszaną.

- Nie znam numeru.

Janie patrzy na nią chłodnym wzrokiem.

- Masz osiem lat? Sprawdź sobie.

Wychodzi z pokoju i trzaska drzwiami.

- Boże! - mruczy wściekle pod nosem.

Idzie przez korytarz i wchodzi do swojego pokoju Cały czas ma na sobie ręcznik. Wyjmuje z szafy jakieś ciuchy, rzuca je na łóżko i szerokim grzebieniem przejeżdża po splątanych, mokrych włosach.

Słyszy, jak otwierają się drzwi od pokoju matki. Po paru minutach Dorothea duka coś przez telefon. Janie ponownie rzuca się na łóżko. Znowu jest cała spocona.

Do diabła z tym.

- Henry - mówi.

Płacze z żalu za wszystkim, co mogło być.

Godzina 12.40

Janie wyciąga z szafy walizkę.

Wdrapuje się na strych, żeby poszukać kartonów.

Przewiezienie rzeczy zajmie jej sporo czasu, bo musi jechać autobusem, a potem iść pieszo.

Przez ułamek sekundy zastanawia się, czy kluczyki do samochodu Henry'ego nie wiszą przypadkiem w małym domku. Ale natychmiast odrzuca tę myśl. Gdyby ją zatrzymali,

posądziliby ją o kradzież. Poza tym nie ma sensu zabijać się tuż przed rozpoczęciem nowego życia.

Pakuje ubrania do plecaka i bierze walizkę.

Idzie do drzwi.

Godzina 13.29

Janie zostawia bagaż na środku pokoju i siada za biurkiem Henry'ego, żeby sporządzić listę rzeczy do zrobienia:

- Najpierw zająć się pogrzebem.
- Znaleźć umowę najmu i adres właściciela, żeby zapłacić czynsz.
- Dowiedzieć się, czy media są wliczone, czy trzeba płacić samemu.
- Posprzątać dom.
- Przejrzeć historię sklepu i sprawdzić, co się sprzedaje.
- Podłączyć ogródek! I zamrozić warzywa.
- Podłączyć Internet do sieci, jeżeli nie wyjdzie zbyt drogo.
- Powiadomić Kapitana, jaki jest plan.
- Powiedzieć Cabe'owi.

Przestaje pisać i wpatruje się uważnie w dwa ostatnie słowa.

Rzuca długopisem o ścianę i wali pięścią w biurko, Gwałtownie odsuwa się od stołu, aż krzesło się przewraca. Staje na środku pokoju i krzyczy w sufit:

- Moje życie jest totalnym gównem! Dlaczego zmuszasz mnie, bym musiała wybierać? Dlaczego mi to robisz? Słyszysz mnie?

Upada na kolana, obejmuje rękami głowę i zwija się w kulkę.

Jej płacz roznosi się echem po całym domu, ale nie ma nikogo, kto by ją usłyszał. Nikt nie może jej pocieszyć.

Godzina 15.57

Janie przystawia policzek do szyby i przez okno autobusu spogląda na Fieldridge.

W drodze do domu dzwoni do Cabela.

- Cześć - słyszy.

I nagle Janie traci głos. Z jej gardła wydobywa się niewyraźny dźwięk.

- Janie, wszystko w porządku? - W głosie Cabela od razu pojawia się troska. - Gdzie jesteś? Potrzebujesz pomocy?

Janie oddycha głęboko, próbując opanować drżący głos.

- Nic mi nie jest. Jestem w domu. Ja... Mój... Henry nie żyje.

Przez chwilę milczą.

- Zaraz u ciebie będę - w końcu mówi. - Okej? Janie kiwa głową do telefonu.

- Tak, proszę.

A potem dzwoni do Carrie. Włącza się poczta głosowa.

- Cześć Carrie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że Henry nie żyje. Ja... Zadzwońię do ciebie później.

Godzina 16.43

Cabel puka do drzwi. Trzyma kwiatek w doniczce i pudełko z ciastem ze spożywczego.

- Cześć - mówi. - Nie miałem czasu, żeby przygotować coś do jedzenia. Ale po drodze zatrzymałem się w sklepie i kupiłem to. Tak mi przykro, Janers.

Janie uśmiecha się, a oczy zachodzą jej łzami. Bierze od niego pudełko i kwiatek. Stawia roślinę na oknie.

- Jest bardzo ładna - szepcze. - Dziękuję.

Otwiera pudełko.

- O kurczę, pączki. - Śmieje się i podchodzi do niego. - Jesteś niesamowity.

Cabel wzrusza ramionami, wydaje się trochę zawstydzony.

- Pomyślałem, że pączki są niezłe na pocieszenie Ale przygotuję wam też jakiś obiad, żebyście nie musiały zawracać sobie tym głowy.

Janie zdumiona kręci głową.

- Dlaczego?

- Tak się chyba robi, jak ktoś komuś umrze. Przynosi się obiad, albo KFC, albo coś takiego. Charlie dostał mnóstwo jedzenia, gdy ojciec zmarł w pudle, a przecież nikt za nim nie przepadał. Byłem wtedy w szpitalu, i Charlie przyniósł mi trochę żarcia... Chryste, ale nawijam. - Cabel zaczyna się wiercić. - Już się zamykam.

Janie mocno go przytula.

- To wszystko jest takie dziwne.

- Wiem. - Głaszcze ją po włosach i całuje w czoło. - Naprawdę, bardzo mi przykro z

powodu Henry'ego.

- Dzięki. I tak wiedziałam, że umrze. Poza tym tak naprawdę to był obcy człowiek - mówi Janie. Kłamie.

- To co - odpowiada Cabel. - To twój ojciec. Na pewno jest ci przykro, bez względu na wszystko.

Janie wzrusza ramionami.

- Nie mogę... - zaczyna. Ale nie chce teraz o tym mówić. Ma na głowie ważniejszą sprawę.

Na przykład to, w jaki sposób zaciągnąć na pogrzeb swoją wiecznie pijaną, ubraną w koszulę nocną, matkę.

Godzina 17.59

Cabel postanawia jednak coś zamówić. Zapach pieczonego kurczaka i ciasteczek przenika przez wrota do Krainy Smutku, i po chwili zjawia się Dorothea. Bez słowa bierze trochę jedzenia i ponownie znika w swoim pokoju.

Dzwoni dyrektor z domu pogrzebowego. Janie notuje wszystko skrupulatnie, a potem omawia z nim szczegóły pogrzebu. Gdy się dowiaduje, że Żydzi nie zwlekają z chowaniem zmarłych, oddycha z ulgą. To jej w zupełności odpowiada. Ponieważ nie ma żadnych krewnych, których można by powiadomić, uzgadniają, że uroczystość odbędzie się następnego dnia o godzinie jedenastej.

Janie odkłada słuchawkę. Zbiera ubrania i przygotowuje je do pralni. Wręcza Cabelowi kosz z bielizną i przypomina sobie, że obiecała zostawić wiadomość dla Cathy. Pisze coś na kartce i wraz z taśmą klejącą przekazuje ją chłopakowi.

- Możesz pojechać do domu Henry'ego i nakleić to na drzwiach?

- Nie ma problemu - mówi Cabe. Wychodzi, a Janie zaczyna prasować sukienkę. Potem wyciera z kurzu parę starych, rzadko noszonych pantofli.

- To niesprawiedliwe - mruczy. - Totalnie nie fair.

Godzina 20.10

Cabe zjawia się w drzwiach z upraną bielizną, świeżą, czystą i prawie idealnie złożoną.

- Kartka wisi na drzwiach, pranie zrobione.

Janie uśmiecha się i bierze kosz.

- Dziękuję. Jesteś cudowny.

Cabel się uśmiecha.

- Pranie to nie jest moja najmocniejsza strona, ale daję radę. Mogę zatrzymać sobie majtki? - Uśmiecha się i wychodzi z domu.

- Musisz zapytać mojej matki. - Janie się śmieje.

Cabe się krzywi.

- Faj. Słuchaj, dam ci teraz trochę czasu, żebyś zajęła się swoimi sprawami... I trochę przestrzeni. Zadzwoń, jakbyś mnie potrzebowała. Przyjadę po was jutro na pogrzeb, jeśli chcesz.

- Dziękuję - mówi. - Byłoby miło.

Patrzy, jak Cabel odchodzi.

Środa

9 sierpnia 2006, godzina 8.46

Cabel puka do drzwi.

- Sorry, że przeszkadzam. Wcale nie chcę. Wiem, że potrzebujesz trochę czasu dla siebie, ale przyniosłem śniadanie.

Janie zagryza dolną wargę. Bierze tacę.

- Dzięki.

- Wrócę później. - Cabel biegnie przez podwórka, z powrotem do domu.

Janie puka do sypialni matki.

- Co znowu?

- Mamo? Przyniosłam ci śniadanie - mówi przez zamknięte drzwi. - Cabel je zrobił.

Przyjedzie po nas o wpół do jedenastej, żeby zabrać nas na pogrzeb, więc do tej pory musisz być gotowa.

Cisza.

- Mamo.

- Postaw na szafce i już.

Janie wchodzi do środka. Dorothea Hannagan siedzi na brzegu łóżka, kiwając się w przód i w tył.

- Wszystko w porządku?

- Postaw to i wynoś się.

Janie zerka na zegarek, stawia talerz na komodzie i wychodzi. Czuje ssanie w żołądku.

Wskakuje pod prysznic i odkręca chłodną wodę. Dzisiaj nie jest już tak gorąco. To dobrze, bo będą stali w słońcu.

Janie uczestniczyła w pogrzebie tylko raz, wiele lat temu. To był pogrzeb jej babci w Chicago. W kościele z mnóstwem obcych osób o niebieskich włosach. Pamięta, że potem były drożdżówki, ciasteczka i napoje. Janie biegała po podziemiach kościoła wraz ze swoimi dalekimi kuzynami, aż w końcu kazano im przestać. Tylko tyle zapamiętała.

Janie wybrała dla Henry'ego uroczystość na cmentarzu. Ludzie raczej nie zasną na zewnątrz.

Nawet pijani.

Godzina 9.39

Właśnie przypomniała sobie, dlaczego nie lubi sukienek.

Godzina 9.50

Janie ostrożnie puka do pokoju matki. Cisza.

- Mamo?

Zostało tylko czterdzieści minut, zanim Cabel po nie przyjedzie i Janie zaczyna się denerwować.

- Mamo - mówi tym razem głośniej. Czemu to wszystko musi być takie trudne? - myśli.

W końcu otwiera drzwi. Dorothea siedzi na łóżku, trzymając w dłoni szklaneczkę wódki. Nadal ma tłuste włosy. I koszulę nocną.

- Mamo!

- Nigdzie nie idę - mówi Dorothea. - Nie mogę. - Pochyla się i obejmuje ramionami, jakby bolał ja brzuch.

Nadal trzyma szklanę. - Jestem chora.

- Nie jesteś chora, tylko pijana. A teraz rusz tyłek i idź pod prysznic.

- Nie mogę.

- Mamo! - Janie zaczyna tracić nad sobą panowanie. - Boże! Czemu to robisz? Dlaczego zawsze wszystko utrudniasz? Odkręcam wodę, a ty wchodzisz pod prysznic.

Janie idzie do łazienki. Potem wraca do pokoju i wyrywa jej z ręki drinka. Odstawia szklanę na komodę, oblewając się. Ciągnie matkę za ramię.

- Chodź! Nikt nie będzie na ciebie czekał.

- Nie mogę - mówi Dorothea. Próbuje być stanowcza. Ale nie ma szans z Janie.

Dziewczyna ciągnie matkę do łazienki i wpycha ją pod prysznic. Dorothea krzyczy. Wciąż ma na sobie nocną koszulę. Janie sięga po szampon i myje jej włosy. Są tak tłuste, że szampon nie chce się pienić. Janie bierze więcej płynu i próbuje jeszcze raz.

Dorothea rzuca się na córkę. Sukienka Janie jest cała mokra. Janie trzyma matkę za głowę i spłukuje szampon.

- Zawsze wszystko psujesz - mówi. - Ale tego nie pozwolę ci zepsuć. - Zakręca wodę i sięga po ręcznik. - Zdejmij wreszcie tę śmieszna koszulę i wytrzyj się. Nie wierzę, że to dzieje się naprawdę.

Janie odwraca się na pięcie i odchodzi. Jest cała mokra. Idzie do swojego pokoju

poszukać czegoś, co mogłaby na siebie włożyć.

Janie słyszy w łazience szuranie. Czesze włosy i poprawia rozmazany makijaż. A potem idzie do sypialni Dorothei. Wyjmuje sukienkę, bieliznę i zanosi wszystko do łazienki. Matka cały czas się wyciera.

Janie przygląda się jej. Matka wygląda jak przemoczony szczur. Jest tak chuda, że spod skóry wystają jej kości. Ma zmęczoną, zrezygnowaną twarz.

- Chodź - szepcze. - Ubierzemy cię.

Tym razem Dorothea idzie za nią bez słowa. W zakurczonym świetle sypialni Janie pomaga matce się ubrać. Czesze jej włosy i upina w kok. Zapala lampkę i nawet ją maluje.

- Masz ładne kości policzkowe - mówi Janie. - Powinnaś częściej spinać włosy.

Dorothea nic nie odpowiada, ale jej broda unosi się lekko do góry. Oblizuje usta.

- Muszę dopić tego drinka - mówi cicho. - Jeżeli mam przez to wszystko przejść.

Janie patrzy jej prosto w oczy, a Dorothea spuszcza wzrok.

- Nie jestem z siebie dumna, ale taka jest prawda. - Wargi jej drżą.

Janie kiwa głową.

- W porządku. - Odwraca się i słyszy, jak otwierają się drzwi wejściowe. Na podjeździe stoi samochód Cabela. - Zaraz będziemy! - krzyczy.

- Nie śpieszcie się. Jestem przed czasem - woła chłopak.

Dorothea wypija do końca wódkę, krzywiąc się. Wzdycha. Nie jest to westchnienie ulgi. Bierze z szafki nocnej butelkę wódki i zaczyna szukać czegoś w torebce. Wyjmuje piersiówkę. Napełnia ją alkoholem, rozlewając przy tym trochę płynu i zakręca.

Janie nic nie mówi.

Dorothea zamyka torebkę i odwraca się w stronę córki. Janie pomaga jej włożyć buty.

- Gotowa? - pyta Janie. - Idź pierwsza.

Dorothea kiwa głową. Chwiejnym krokiem wychodzi na korytarz.

Cabel uśmiecha się na ich widok. Ma na sobie ciemnoszary garnitur i wygląda absolutnie zabójczo. Uczesane, wciąż wilgotne włosy kręcą się tuż nad kołnierzykiem.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia, pani Hannagan. - Podaje jej ramię.

Przez chwilę Dorothea jest zaskoczona, ale w końcu podaje mu rękę. Cabel wyprowadza ją na zewnątrz i prowadzi do samochodu.

- Bardzo dziękuję - mówi z niespodziewaną godnością matka.

Godzina 10.49

Na cmentarz docierają przed czasem. Grób widać z daleka. Góra piasku, sosnowa trumna, rabin i grabarze. W pobliżu stoi też kilka innych osób. Cabel parkuje przy wąskiej uliczce.

Janie wysiada z samochodu i pomaga matce wysiąść. Idą razem, we trójkę. Rabin podchodzi, by ich przywitać.

- Dzień dobry - mówi. - Nazywam się Ari Greenbaum. Jestem rabinem. - Wyciąga rękę.

Janie podaje mu swoją.

- Janie Hannagan. A to moja matka, Dorothea Hannagan, i mój przyjaciel, Cabel Strumheller. Jestem córką zmarłego. - Jest z siebie dumna, że nie zaczęła się jąkać. Długo ćwiczyła to w myślach. - Dziękuję, że pan nam pomógł. My... nie jesteśmy wyznania mojżeszowego. Chyba nie. - Rumieni się.

Rabin uśmiecha się ciepło. Najwyraźniej to mu nie przeszkadza. Odwraca się i razem idą w stronę grobu. Rabin Greenbaum omawia szczegóły ceremonii i wręcza każdemu kartkę z tekstem psalmu 23.

Dorothea patrzy na kartkę i spogląda na trumnę. Długo się jej przygląda. Usta jej drżą, ale jest spokojna.

Wokół grobu zaczynają gromadzić się ludzie.

- To moi wierni - wyjaśnia rabin. - Mężczyźni przygotowali ciało pani ojca do pogrzebu i czuwali przy nim przez całą noc. Potem przynieśli tu trumnę.

Janie spogląda na nich z wdzięcznością. Myśli, że to wszystko jest bardzo dziwne, ale też piękne. To miło z ich strony, że się tym zajęli i znaleźli czas, by przyjść na pogrzeb zupełnie obcego człowieka.

Stoją przy grobie i czekają. Zbliża się pora największego upału i nawet ptaki zamilkły.

Janie wpatruje się w dziurę w ziemi. Dostrzega białą, świeżo ściętą korzeń drzewa wystający z piachu. Wyobraża sobie trumnę leżącą na dnie grobu, którą pokrywa ciężka warstwa ziemi. Wyobraża sobie, jak korzenie zaczynają przebijać się do środka i oplatać ciało. Potrząsa głową i spogląda do góry na niebieskie niebo.

Słyszy nadjeżdżające samochody. Odwraca się i widzi dwa czarno - białe wozy. Wysiadają z nich porucznik Baker, Cobb i Rabinowitz, wszyscy ubrani w mundury. Za nimi pojawia się czarny sedan, z którego wysiada Kapitan.

Po chwili pojawiają się Charlie i Megan Strumhellerowie, wciąż opaleni po tygodniowym urlopie nad jeziorem. Potem nadjeżdża Ethel z Carrie i Stu. Janie ma łzy w

oczach. W oddali widać dużą brązową furgonetkę UPS, która jedzie wąską cmentarną uliczką. Janie nie może uwierzyć. Skąd się tu wzięli ci wszyscy ludzie? Patrzy z niedowierzaniem na Cabela.

- Skąd oni wiedzą? - szepcze.

Cabe uśmiecha się i wzrusza ramionami.

Pora zaczynać.

Rabin wita zgromadzonych i zaczyna się modlić.

A potem.

- Niech spoczywa w pokoju - mówi rabin.

Zanim Janie orientuje się, co się dzieje, grabarze spuszcza trumnę do grobu i po chwili wszyscy spoglądają na drewniane pudełko, w którym leży jej ojciec. Stojąca obok Janie Dorothea głośno pociąga nosem i chwieje się na nogach. Janie obejmuje ją ramieniem i podtrzymuje. Rabin znowu zaczyna się modlić.

Janie chłonie rytm jego słów i melodię psalmów, ale czuje, że jakaś część jej samej dusi się w małej sosnowej trumnie.

- Pan jest moim pasterzem, na niczem mi nie zejdzcie.*

Wszyscy wokół zaczynają głośno recytować, przerywając Janie rozmyślenia. Szybko odnajduje na kartce odpowiedni fragment i zaczyna czytać.

A potem rabin pyta, czy ktoś chciałby coś o Henrym powiedzieć.

Janie wpatruje się w trawę.

Po chwili Cathy, ubrana w swój brązowy mundurek, chrząka i robi krok do przodu. Janie czuje, że matka sztywnieje.

- Kto to jest? - syczy Dorothea.

Janie ściska jej ramię, ale nic nie mówi.

- Henry Feingold był moim klientem i przez te wszystkie lata zdążyliśmy się zaprzyjaźnić - mówi Cathy drżącym głosem. - Zawsze znalazł chwilę, by poczęstować mnie filiżanką kawy lub chłodnym napojem. A gdy się dowiedział, że zbieram śnieżne kule, zaczął je dla mnie szukać. Był dobrym człowiekiem i będzie mi go brakowało. Chciałam ci podziękować, Janie, że dałaś mi znać o jego śmierci. Przynajmniej mogę się z nim pożegnać. To wszystko. - Cathy wraca na swoje miejsce.

* Psalm 23, Księga Psalmów, Biblia Gdańska, Kraków 2004

- Dziękuję. Jeszcze ktoś?

Cabel szturcha Janie łokciem. A ona szturcha go z powrotem.

A potem.

Głos zabiera jej matka.

- Chciałabym coś powiedzieć.

Janie jest przerażona.

Rabin kiwa głową. Dorothea podchodzi do niego chwiejnym krokiem i odwraca się do zgromadzonych.

Co ona chce powiedzieć? Janie zerka na Cabe'a. W jego oczach dostrzega troskę.

Dorothea mówi tak cichym głosem, że trudno ją usłyszeć.

Przynajmniej dopóki nie zaczyna krzyczeć.

- Henry był ojcem Janie. Jedynym mężczyzną, którego kochałam. Ale zostawił mnie po tym, jak rzuciłam dla niego szkołę, a rodzice nie chcieli przyjąć mnie z powrotem. To był wariat i okropny człowiek. Zniszczył mi życie i cieszę się, że nie żyje! - Po tych słowach Dorothea zaczyna majstrować przy zamku od torebki.

- Dobry Boże - szepcze Cabe.

Zapada cisza. Zgromadzeni wokół ludzie są zszokowani. Janie podbiega do matki i prowadzi ją na miejsce. Czuje, że twarz płonie jej ze wstydu, a po plecach spływają kropelki potu. Zażenowana, odwraca wzrok od zgromadzonych gości.

Na dodatek Dorothea w końcu otwiera torebkę i nie zadając sobie trudu, by ukryć piersiówkę, pociąga z niej spory łyk.

Rabin Greenbaum szybko zaczyna coś mówić.

Cabe kładzie rękę na plecach Janie, żeby ją pocieszyć. Spuszcza wzrok, a ona dostrzega na jego twarzy rozbawienie. Ma ochotę nadepnąć mu na nogę i wepchnąć matkę do grobu. Zastanawia się, czy byłby z tego dobry sitcom.

Janie próbuje przyciągnąć uwagę rabina.

- Czy mogę coś powiedzieć? - pyta.

- Oczywiście - mówi rabin, tym razem z zatroskanym wyrazem twarzy.

Janie nie rusza się z miejsca i spogląda na trumnę.

- Poznałam ojca tydzień temu - mówi. - Nigdy nie spojrzałam mu w oczy. Ale w ciągu tego krótkiego czasu zdążyłam się wiele o nim dowiedzieć. Zajmował się swoimi sprawami i nikomu nie przeszkadzał. Po prostu żył takim życiem, jakie było mu dane, najlepiej jak potrafił.

- Nie był wariatem - ciągnie dalej.

- Właśnie, że był - mruczy pod nosem Dorothea.

- Nie był - powtarza Janie, ignorując matkę. - Miał po prostu pewien problem. Trudno to wytłumaczyć, gdy ktoś nie wie, o co chodzi. - Głos jej się urywa. Patrzy na matkę. - Chyba zawsze będę wierzyć, że Henry Feingold był dobrym człowiekiem. Szkoda, że nie żyje. - Usta jej drżą. Czuje, że powoli wraca jej uczucie.

- Żałuję, że go nie ma, bo wtedy mogłabym go lepiej poznać. - Łzy płyną jej po twarzy.

Kiedy staje się jasne, że Janie powiedziała już wszystko, rabin rozpoczyna kadisz. Potem uśmiecha się i prosi Janie, by podeszła z drugiej strony grobu. Prowadzi ją do miejsca, gdzie leży przygotowana kupka ziemi. Cabel bierze Dorotheę pod rękę i idą za Janie. Tuż obok leży kilka łopatek. Każde z nich bierze jedną.

Janie nabiera trochę ziemi. Jedna grudka spada w dół i uderza o trumnę. Dziewczyna nie ma siły odwrócić łopatki. Rabin mówi coś o prochu i w końcu Janie to robi. Kiedy ziemia uderza o trumnę, czuje ukłucie w żołądku.

Dorothea drżącą ręką robi to samo. Potem Cabel. Po chwili wszystkie zgromadzone osoby nabierają trochę ziemi i sypią ją do grobu. Dół zaczyna się zapełniać.

I wtedy Dorothea traci nad sobą panowanie.

Upada na kolana, jakby dopiero teraz wszystko do niej dotarło.

- Henry! - krzyczy. Płacz wstrząsa jej ciałem. Janie stoi obok, nie jest w stanie pomóc matce. Nie chce jej przerywać.

Co za syf. Janie już sobie wyobraża, jak wszyscy w pracy gadają o tej pijaczce, która zepsuła pogrzeb. Pieprzyła się gdzie popadnie i urodziła nieślubne dziecko. Do niczego się nie nadaje. Przynosi tylko wstyd. Janie kręci głową, a po policzkach płyną jej łzy. Nabiera więcej ziemi.

To i tak nie ma znaczenia.

Kiedy świeży grób jest już usypany, Janie zdaje sobie sprawę, że będzie musiała stawić czoła gościom. Cabel prowadzi Dorotheę do samochodu.

Janie odkłada łopatkę na ziemię. Prostuje się i widzi przed sobą Kapitana.

Kapitan obejmuje ją. Przytula.

- Dałaś sobie radę - mówi. - Bardzo mi przykro.

- Dziękuję. - Policzki ma mokre od łez. Nie po raz pierwszy płacze na jej ramieniu. - Tak mi wstyd.

- Niepotrzebnie. - Policjantka mówi stanowczym, rozkazującym tonem. Janie jest wdzięczna, że choć przez chwilę ktoś inny przejął kontrolę nad sytuacją. Co za ulga. Kapitan

klepie ją po plecach. - Będziesz teraz obchodzić sziwę?

Janie odsuwa się i spogląda na nią.

- Chyba nie. A co to znaczy?

Kapitan się uśmiecha.

- To czas żałoby. Zazwyczaj trwa tydzień, ale to zależy od ciebie.

Janie kręci głową.

- My... ja... Nawet nie wiedziałam, że jestem w połowie żydówką. Dowiedziałam się w zeszłym tygodniu. Nie praktykuję ani nic takiego.

Kapitan kiwa głową. Bierze ją ze rękę.

- Wpadnij do mnie do biura, kiedy będziesz gotowa. Nie spiesz się, dobrze? Ale chyba musimy wreszcie pogadać.

Dziewczyna kiwa głową.

- Tak, chyba tak.

Kapitan ściska jej rękę. Później Janie wita się z chłopakami z wydziału. Próbuje im coś wyjaśnić, przeprosić za zachowanie matki, ale nie dają jej dojść do słowa. Składają wyrazy współczucia, a na koniec ją rozśmieszają. Jak zawsze.

I tak jest dobrze.

Cathy czeka przy grobie, aż odejdą policjanci. Potem podchodzi do Janie.

- Dziękuję za wiadomość.

- Na pewno byłby wdzięczny, że przysłaś - mówi Janie.

- Zostawiłam na schodach kilka paczek. Chcesz, żebym zwróciła je nadawcom?

Janie zastanawia się przez chwilę.

- Nie - mówi. - Zajmę się tym. Pewnie będę miała coś na jutro, więc... - Janie nie chce teraz rozmawiać. Będzie miała mnóstwo czasu, żeby pogadać z Cathy w przyszłym tygodniu.

- Zrób zamówienie przez Internet, tak jak ostatnim razem. Na pewno podjadę. - Cathy zerka na zegarek. - Muszę wracać do pracy. Trzymaj się, Janie. Bardzo mi przykro.

- Znałaś go najlepiej z nas wszystkich. Też mi przykro.

- Tak. Dziękuję. - Cathy spuszcza wzrok. Odwraca się i wraca do furgonetki.

Charlie i Megan obejmują Janie.

- Dasz sobie radę, dzieciaku? - pyta Charlie.

- Jasne, że tak - stwierdza Megan. - Jest twarda jak stal. Ale pamiętaj, że zawsze jesteśmy przy tobie, gdybyś nas potrzebowała.

Janie z wdzięcznością kiwa głową. Dziękuje im.

A potem zjawiają się Carrie i Stu. Stu ma na sobie tę samą koszulę i niemodny krawat co na studniówce. Janie uśmiecha się na to wspomnienie. Od tamtego czasu tyle się wydarzyło.

- Nie mogę uwierzyć, że przyszło tyle osób - mówi Janie. - Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

Carrie chwyta ją za rękę.

- Oczywiście, że przyszliśmy, głuptasie.

Janie uśmiecha się i ściska jej dłoń.

- Hej - mówi. - A gdzie pierścionek? - urywa zmartwiona.

Carrie uśmiecha się i bierze Stu za rękę.

- Spokojnie. Doszliśmy do wniosku, że nie jesteśmy jeszcze na to gotowi, więc go oddałam. Stu trzyma go w bezpiecznym miejscu, prawda skarbie?

- Jasne - przytakuje Stu. - Był cholernie drogi.

Janie się uśmiecha.

- Cieszę się, że wszystko jest dobrze. Jeszcze raz dzięki, że przyszliście.

- To najlepszy pogrzeb, na jakim byłam - mówi Carrie.

Stu i Carrie machają do niej na pożegnanie i trzymając się za ręce, idą do Ethel. Janie patrzy za nimi.

- Tak. Dużo się zmieniło.

Następnie podchodzi do grupki nieznajomych, którzy cicho rozmawiają.

- Dziękuję za wszystko, co państwo zrobili - mówi Janie.

- Nie trzeba - mówi jedna z osób. - To zaszczyt zajmować się ciałem zmarłego.

Przyjmij nasze kondolencje, kochanie.

- Dziękuję. - Janie się rumieni. Rozgląda się wokół i dostrzega rabina. Podchodzi, żeby się pożegnać. Nie widzi nikogo więcej, więc wraca do samochodu.

- Ani jednego kwiatka! - mówi Dorothea. - Co to w ogóle za pogrzeb?

Cabel klepie ją po ręce.

- Żydzi nie kładą kwiatów na grobie zmarłych, pani Hannagan. Nie uznają ciętych kwiatów.

Janie zamyka drzwi i opiera głowę o siedzenie. W samochodzie panuje przyjemny chłód.

- Skąd o tym wiesz, Cabe? - pyta. - Zajrzałeś na jakąś stronę o rabinach?

Cabel unosi lekko brodę i uruchamia silnik.

- Może.

Godzina 16.15

Janie słyszy pukanie do drzwi. Podnosi się z kanapy. Właśnie uciniała sobie drzemkę. Matka skryła się w swoim pokoju. Janie poprawia włosy i zakłada okulary.

To Rabinowitz.

- Cześć. Wejdz. - Jest zaskoczona.

Rabinowitz w jednej ręce trzyma pudełko, a w drugiej kosz owoców. Wchodzi do środka i stawia rzeczy na kuchennym blacie.

- To żeby osłodzić twój smutek - mówi.

Janie nie wie, co powiedzieć.

- Dziękuję. - Ale nie potrafi wyrazić tego, co czuje.

Rabinowitz się uśmiecha.

- Jestem na służbie, ale chciałem to podrzucić. Bardzo mi przykro, Janie. - Macha do niej ręką i wymyka się przez drzwi.

To wszystko jest tak miłe.

Wszystko.

I jeszcze bardziej utrudnia sprawę.

Godzina 16.28

Janie leży na kanapie, objęta ciastem.

Myśli o tym, co będzie dalej.

Wie, że niebawem będzie musiała na zawsze pożegnać Cabela.

A to?

Pomimo korzyści, będzie najtrudniejszą rzeczą w jej życiu.

Godzina 18.04

Janie idzie wyboistą drogą do domu Henry'ego. Na plecach ma plecak, a w ręku walizkę i torbę z ubraniami. Przed drzwiami stoją dwa kartony. Janie wchodzi do środka, żeby zostawić rzeczy i wciąga paczki.

Otwiera pierwszą z nich i wyciąga z niej dziecięcy kombinezon. Uruchamia przedpotopowy komputer. Przegląda folder z zamówieniami i otwiera szufladę pod stolikiem. Przepakowuje kombinezon i adresuje pudło.

Otwiera drugi karton. Wyciąga zawinięty w folię pakunek.

To śnieżna kula.

Nie ma jej na liście rzeczy do wysłania.

To na pewno dla Cathy.

Paryż. Janie potrząsa kulą i patrzy na złote, lśniące płatki śniegu wirujące wokół plastikowej wieży Eiffla i katedry Notre Dame.

Niesamowicie kiczowate.

Ale na swój sposób zupełnie wyjątkowe.

Janie uśmiecha się. Pakuje kulę i wkłada ją z powrotem do pudełka. Bierze czarny flamaster i pisze:

„Dla Cathy, ostatni prezent.

Henry”

Janie załatwia sprawy ojca, a potem odnajduje starą umowę najmu. Okazuje się, że od 1987 roku Henry co miesiąc przesyłał czek przed pierwszym. Też będzie tak robić.

Oczywiście powie właścicielowi, że Henry zmarł. Ale przedstawi mu kuszącą propozycję i na pewno pozwoli jej tu zamieszkać. Może nawet zapłacić za pierwszy rok z góry, jeśli będzie taka potrzeba.

Wyłącza komputer.

Ściąga pościel i wkłada ją do starej pralki. Postanawia posprzątać dom i zostać na noc.

Tutaj, w jej nowym domu.

Co za cholerna ulga.

Wspomnienia

Godzina 20.43. Nadal dzień pogrzebu.

Pierwszy wieczór w nowym domu. Izolacja. Dzień pierwszy.

Pranie zrobione, dom sprzątnięty, kanapka zjedzona, lista zakupów zrobiona. Janie siedzi na łóżku z pudełkiem wspomnień.

W środku:

Czternaście listów od Dottie.

Pięć zapieczętowanych listów do Dottie od Henry'ego, z uwagą: „Zwrócić nadawcy”.

Mały zaśniedziały medal ze szkolnych zawodów w biegach przełajowych.

Pierścionek klasowy.

Dwie koperty ze zdjęciami.

Jeden dolar kanadyjski i jeden srebrny.

Dziewięć spinaczy.

Stare prawo jazdy.

Złożony kawałek papieru.

Janie ostrożnie wyjmuje fotografie i przygląda się im. Mnóstwo zdjęć Dorothei. Ich obojga. Jak się śmieją, bawią, całują i leżą na plaży z błogim uśmiechem na twarzy. Na skałach nad jeziorem Michigan, w tle widać napis „Molo Marynarki Wojennej”. Dobrze razem wyglądają. Matka jest całkiem ładna, szczególnie gdy się śmieje. Niewiarygodne.

Janie rozpoznaje na zdjęciach duży pokój. Henry siedzi z nogami wyciągniętymi na starej ławie, a w oknach są te same stare zasłony. Dorothea leży na starej kanapie, chociaż na zdjęciach wszystko wygląda na nowe. Wszystko jest dokładnie tak samo. Janie przygląda się szczęśliwej parze.

Może jednak nie wszystko, myśli.

Układa zdjęcia w kolejności chronologicznej, zgodnie z datą widoczną w każdym rogu. Wyobraża sobie ich zaloty. Szalone lato w 1986 roku, kiedy pracowali razem u Lou w Chicago. Z jesieni nie ma żadnych zdjęć. To musiało być dokładnie wtedy, gdy na krótko się rozdzielili. Dottie wróciła do szkoły, a Henry na uniwersytet. Janie spogląda na listy od Dorothei i przygląda się stemplom pocztowym na kopertach. Wszystkie zostały wysłane od

dwudziestego siódmego sierpnia do października tego samego roku. Czternaście ręcznie napisanych listów w dwa miesiące - myśli Janie. To musiała być miłość.

Druga partia zdjęć zaczyna się od połowy listopada 1986 roku, a ostatnie jest z pierwszego kwietnia 1987. Prima aprilis. Nic dziwnego. Janie oblicza czas od dnia swoich urodzin, dziewiątego stycznia 1988. To by się zgadzało, myśli. Dziewięć miesięcy wcześniej był dziewiąty kwietnia 1987. Niewiele czasu upłynęło od ostatniej fotografii do poczęcia dziecka. A potem nastąpiło rozstanie.

Dotyka listów. Jest bardzo ciekawa. Cholernie. Nie do wytrzymania. Bierze jeden z nich do ręki i przejeżdża palcem po zagięciu kartki wewnątrz koperty. Ale potem go odkłada.

Czuje, że te listy są czymś świętym.

Poza tym pewnie są obrzydliwe. To byłoby równie okropne, jak znaleźć się w erotycznym śnie matki. Jak raz się coś takiego przeczyta, trudno wymazać to z pamięci.

Janie odkłada listy i zdjęcia do pudełka. Bierze do ręki kanadyjską monetę i zastanawia się, kiedy ojciec po raz ostatni odwiedził Kanadę. Uśmiecha się i kładzie monetę obok srebrnego dolara. Podnosi medal za bieg przełajowy i obraca go w palcach. Przysuwa go do twarzy i mruży oczy, żeby zobaczyć wszystkie szczeliny i zagłębienia.

- Ja też biegam - mówi cicho. - Ale trochę inaczej. Po ulicy.

Przez chwilę trzyma medal, a potem przyczepia go do plecaka.

Patrzy na prawo jazdy. To jego pierwsze prawko, dawno wygasłe. Zdjęcie jest przekomiczne, a podpis stanowi chłopięcą wersję tych, które widziała w domu.

A potem podnosi pierścionek klasowy. Z jednej strony wygrawerowano rok 1985, a z drugiej LHS. Poniżej znajduje się małe wizerunek biegacza. Pierścionek jest piękny, złoty z rubinowym oczkiem. Janie wyobraża go sobie na palcu Henry'ego, a potem zerka na zdjęcia i widzi, że nosił go na prawej dłoni. Zakłada go. Pierścionek jest o wiele za duży, ale pasuje na jej kciuk. Zdejmuje go i odkłada do pudełka.

Znowu go wyjmuje.

Zakłada na kciuk.

Pasuje jej.

Godzina 23.10

Później ogląda wszystko jeszcze raz, z wyjątkiem listów, i znajduje zwiniętą kartkę papieru. Coś jest na niej wydrukowane. Czyta.

„Widelki Mortona

1889, John Morton (ok. 1420 - 1500), arcybiskup Canterbury, który wymuszał od poddanych pożyczki dla króla Henryka VIII, argumentując, że bogatych stać na to, by płacić, a biedni żyją na tyle skromnie, że również mogą to robić.

Źródło: American Psychological Association (APA): morton's fork (n.d.). Online Etymology Dictionary.

Ze strony Dictionary.com: [http://dictionary.reference.com/browse/morton's fork](http://dictionary.reference.com/browse/morton's+fork)”

Janie czyta jeszcze raz. Pamięta zakładkę w książce i tę w Internecie. Pamięta wiadomość od pani Stubin, że Henry prosi ją, by przemyślała widelki Mortona.

Tak, ale ja już to rozumiem, Henry. Miałeś wybór. Wiem. Przemyślała to już jakieś milion razy. Wiedziała o tym, zanim dowiedziała się o jego istnieniu. Biedny Henry. On nie miał przy sobie zielonego notesu pani Stubin. Nie miał pojęcia, jakiego dokonać wyboru.

- Człowieku, jestem dużo dalej - mówi na głos.

Janie już wie, które rozwiązanie będzie dla niej najlepsze. Inaczej by jej tu nie było.

Zgniata kartkę i wrzuca ją do kosza.

Po raz ostatni zerka na listy i zostawia je.

Gasi światło.

Przewraca się z boku na bok, wiedząc, że jutro będzie musiała sporo wyjaśnić.

Godzina 6.11

Zapada w sen.

Henry stoi na olbrzymiej skale na szczycie wodospadu.

Jego włosy zamieniają się w gniazdo szerszeni, które gniewnie bzyczą wokół jego głowy.

Jeśli wpadnie do wody, szerszenie pewnie znikną, ale on zginie.

Jeśli zostanie na skale, zagryzą go na śmierć.

Janie obserwuje go. Na brzegu stoi Śmierć. Jej długi czarny płaszcz nie porusza się na wietrze. Na drugim brzegu w wózku inwalidzkim siedzi stara Martha Stubin. Jest ślepa i kaleka.

Henry kładzie się na skałę i próbuje wypłukać szerszenie z włosów. Ale to je jeszcze bardziej złości. Zaczynają go kąsać. Henry zaczyna krzyczeć, próbując je odgonić. W końcu spada ze skały prosto do wodospadu. W objęcia śmierci.

Janie budzi się i zdezorientowana siada na łóżku. Opada na poduszkę. Musi się uspokoić. Myśli.

Intensywnie.

Jeszcze bardziej.

A potem podchodzi do komputera i czeka na połączenie z Internetem. Powoli zaczyna świtać.

Jeszcze raz sprawdza widelki Mortona. Dlaczego to mi nie daje spokoju? Zastanawia się. Dlaczego cały czas do tego wracam? Już wiem. Poważnie. Rozumiem, o co chodzi. O wiele lepiej niż Henry.

Odnajduje tekst. Czyta pod nosem.

- Zupełnie beznadziejny wybór pomiędzy dwoma równie złymi rozwiązaniami. W porządku. Rozumiesz? Ja to wiem.

Jeszcze chwilę się zastanawia, na wypadek gdyby coś jej umknęło.

Myśli o Henrym.

Jego widelki Mortona były oczywiste. Wybrał izolację, a nie męczarnię i nieprzewidywalne konsekwencje snów. To był jego wybór. Tyle wiedział.

Nie ma dobrego rozwiązania.

Tak, Janie przyznaje, że jego wybór był równie trudny. Nie ma z tego wyjścia. Mógł wybrać jedno albo drugie.

Myśli o pani Stubin. O tym, że w młodości miała dokładnie taką samą sytuację jak Henry, ale wybrała inną drogę. Nie wiedziała wtedy, co ją czeka. Ale potem straciła wzrok i została kaleką.

To kolejny czynnik. Dlatego wybór Janie jest inny.

Janie ma więcej informacji.

Ale to żadna nowina. Wiedziała o tym wszystkim, odkąd znalazła zielony notes.

Nie ma dobrego rozwiązania.

Nie daje jej to spokoju i zaczyna chodzić tam i z powrotem po maleńkim

pomieszczeniu. Pod bosymi stopami czuje chłodną drewnianą podłogę.

Otwiera lodówkę i zagłada do środka niewidzącym wzrokiem. Myśli o swoich możliwościach.

Rozważa za i przeciw.

Tak, nie ma dobrego rozwiązania. Powinna zostawić Cabe'a i cały świat, żeby zamieszkać w tej norze? Tak, to nie brzmi najlepiej. Ani to, że mogłaby stracić wzrok? Jasne.

Czy nie?

A gdyby nie było Cabe'a?

Izolacja. Samotny żywot. Pustelnicy tak żyją. I mnisi. Ludzie naprawdę się na to decydują. Na izolację.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie chce być ślepy i kaleki. Nie, jeśli się to dokładnie przemyśli, tak jak Janie. Martha tego nie wybrała, tak się po prostu stało. Nie wiedziała, że tak będzie. Nikt by się na to nie zdecydował.

Nikt.

Chyba że drugie rozwiązanie jest równie złe.

Myśli. O Henrym. O tym jak żył. Jak umarł. I jak w końcu osiągnął spokój. Później. Dopiero po tym, jak znalazł się w jej śnie.

- Nie ma dobrego rozwiązania - powiedział w którymś śnie. Trzymał się za głowę. Wrywał włosy. Ale mówił o swojej wersji widełek Mortona. Swoim własnym wyborze. Henry nie wiedział, jaki jest prawdziwy wybór. Nie znał pani Stubin. Nie wiedział o jej ślepotcie, jej rękach. Dalej nie wie. Chyba, że mu powiedziała. Później.

Godzina 7.03

Janie nie może przestać o tym myśleć.

Bo jeśli?

Jeśli problem Henry'ego nie był zwyczajną chorobą? Jeśli to nie był zwyczajny guz ani tętniak, jak u zwykłych ludzi?

A jeśli... Jeśli to była konsekwencja?

Migreny, tabletki. Wrywanie włosów. Jakby ciśnienie było zbyt duże.

Ponieważ nie wykorzystywał swoich umiejętności.

Ponieważ nie wchodził w niczyje sny.

Ciśnienie było tak ogromne, że część jego mózgu eksplodowała.

- Neeee... - mówi cicho.

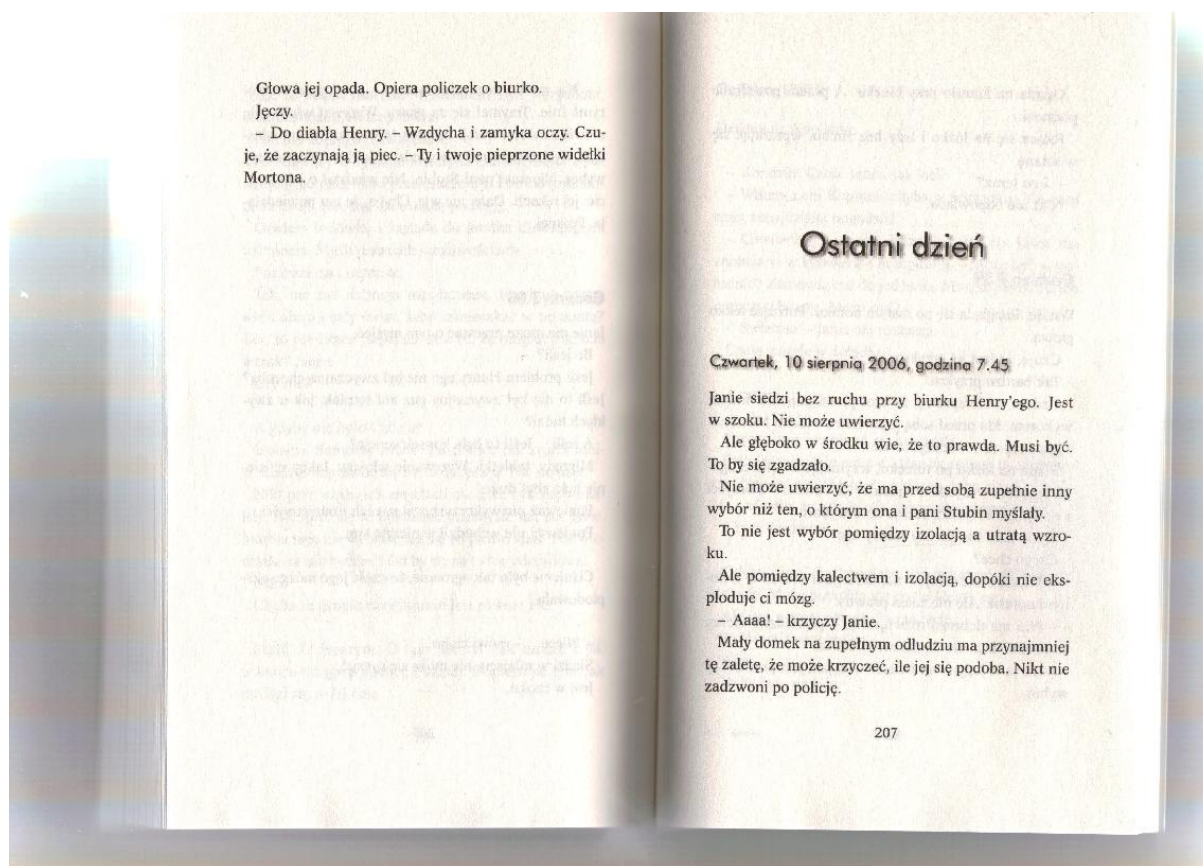
Siedzi w miejscu, nie może się ruszyć.

Jest w szoku.

Głowa jej opada. Opiera policzek o biurko.

Jęczy.

- Do diabła Henry. - Wzdycha i zamyka oczy. Czuje, że zaczynają ją piec. - Ty i twoje pieprzone widelki Mortona.”



Opada na krzesło przy biurku. A potem powoli się podnosi.

Rzuca się na łóżko i leży bez ruchu, wpatrując się w ścianę.

– I co teraz?

Nikt nie odpowiada.

Godzina 9.39

Wstaje. Rozgląda się po małym domku. Potrząsa lekko głową.

Czuje, że jest jej przykro.

Tak bardzo przykro.

I zdaje sobie sprawę, że stoi przed zupełnie innym wyborem. Ma przed sobą prawdziwe widelki Mortona. I musi się na coś zdecydować.

Siada na łóżku po turecku, trzymając w ręku długopis, papier i wszystko rozpisuje. Za i przeciw. Korzyści i wady. Zero wyboru *versus* zero wyboru.

– Życie pani Stubin czy Henry'ego?

Czego chce?

– Niczego nie żałuję – napisała pani Stubin w zielonym notesie. Ale nie znalazła prawdy.

– Nie ma dobrego rozwiązania – powiedział Henry w swoim śnie. Ale on też nie wiedział.

Janie jako jedyna na świecie wie, jaki jest prawdziwy wybór.

208

Godzina 10.11

Dzwoni do Kapitana.

– Konisky. Cześć Janie, jak leci?

– Witam, pani Kapitan, chyba w porządku. Ma pani czas, żeby dzisiaj pogadać?

– Chwileczkę. – Janie słyszy, jak kobieta klika paznokciami w klawiaturę komputera. – Może być w południe? Zamówię coś do jedzenia. Możemy zjeść lunch u mnie w biurze. Może być?

– Świetnie. – Janie się rozłącza.

Czuje motyle w żołądku.

A potem.

Kręci głową i zaczyna się pakować.

Pakuje wszystkie rzeczy, które wcześniej tu przywiozła. Na siłę wpycha je do walizki, żeby się zmieściły. Ma nadzieję, że uda jej się zabrać za jednym razem.

Wraca do domu.

Gdyby nie Cabe, mogłaby zarzykować. Wybrałaby izolację. Może pomyliła się co do Henry'ego.

Ale jest niemal pewna, że ma rację.

To kwestia przeczcucia.

Więc.

To by było na tyle.

14 – Koniec

209

Janie wyjmuje spod zlewu reklamówki i pakuje do nich to, co nie zmieściło się w walizce. Od czasu do czasu kręci głową.

Nie może uwierzyć.

Przed wyjściem dzwoni do właściciela domu i powiadamia go, że Henry umarł. Potem na dobre zamyka sklep Henry'ego, zamawia kuriera na ostatnie paczki i zostawia na zewnątrz paczkę ze szklaną kulą i z karteczką dla Cathy.

Stawia walizkę na ziemi i zamyka za sobą drzwi. Nie przekręca zamka, tak jak było.

Głęboko wdycha wiejskie powietrze i zatrzymuje je przez chwilę w płucach. Potem powoli wydycha.

Zerka na dojrzałą herbatę słoneczną, która cały czas stoi na masce kombi.

Podnosi walizkę i rusza przed siebie.

Idzie po pokrytej żwirami drodze. Czuje się jak bezdomna, która niesie ze sobą cały swój dobytek.

Nie ogląda się za siebie.

Kiedy dociera do domu, zanosi wszystko do swojego pokoju i wyciąga z torby pudełko z listami. Medal jest wciąż przypięty do plecaka, a na kciuku ma pierścienek. Zanosi pudełko do kuchni i stawia je na blacie, obok owoców i ciasta, które przyniósł Rabinowicz.

210

Godzina 11.56

Janie idzie do pokoju Kapitana, witając się pod drogą z kolegami z wydziału. Zatrzymuje się przy biurku Rabinowitza, żeby podziękować za śniadanie, ale nie ma go. Janie uśmiecha się lekko i pisze coś na kartce papieru.

Potem puka do drzwi Kapitana.

– Wejść!

Janie wchodzi. W powietrzu unosi się zapach chłimszczyzny i czuje, że zaczyna burczeć jej w brzuchu. Kapitan rozstawia papierowe talerze i plastikowe widelce. Otwiera pojemniczki z jedzeniem i ciepło się usmiecha.

– Jak się czujesz?

Janie zamyka drzwi i siada.

– Normalnie – mówi lekko. – Jak wariatka.

Sięga po chusteczki, wyciąga jedną z nich i kładzie przy talerzu Kapitana.

– Częstuj się – mówi kobieta. Nakładają jedzenie.

Janie dziwnie się czuje. Wokół panuje cisza, są same. Jedzą. Janie dotyka pierścienka na kciuku i przez przypadek brudzi swoją białą bluzkę ciemnym sosem. Próbuje zetrzeć plamę chusteczką.

Kapitan sięga do szuflady, która wydaje się zawierać wszystko, co człowiekowi potrzebne do życia. Wyciąga z niej paczkę mokrych chusteczek. Rzuca je Janie.

211

Dziewczyna się uśmiecha lekko i otwiera opakowanie.

– W tej szufladzie jest chyba wszystko. Jedzenie, plasterki, mokre chusteczki na plamy, plastikowe sztucce... Co jeszcze?

– Wszystko, co człowiek potrzebuje, by przetrwać kilka dni – mówi Kapitan. – Zestaw igieł i nici, gdyby komuś odpadł guzik, spinki do włosów, przybory toaletowe, zestaw śrubokrętów, szczyrzyk Swisschamp. Nie, nie pożyczam go, to ten superdrogi model. Co jeszcze, gwizdek na psy, chrupki dla psów, gwizdek policyjny, surowica, epinefryna, butelki z wodą... I płątanina gumek recepturek, spinaczy do papieru i nieważnych znaczków pocztowych. O, i kilka monet.

Janie się śmieje. Uspokaja.

– To niesamowite. – Zaczyna jeść.

– Byłam kiedyś skautką – mówi Kapitan. Jej twarz ani drgnie.

Janie prychnie i zastanawia się, czy kobieta żartuje. Z nią nigdy nic nie wiadomo.

– Więc – zaczyna Kapitan. – Mamy sporo do omówienia. – Dodaje do kawy śmietankę. – Zgaduję, że twoje problemy rodzinne z zeszłego tygodnia miały coś wspólnego z ojcem. Zgadza się?

– Tak – przytakuje Janie.

– To czemu do diabła nie mi nie powiedziałaś?

Janie spogląda na nią ostrym wzrokiem.

– Ja...

212

– Jesteśmy jak rodzina, Hannagan. Ja jestem twoją rodziną, a ty moją. Nie odrzuca się rodziny. Następnym razem, jak coś takiego się zdarzy, masz mi o tym powiedzieć, rozumiemo?

Janie chrząka.

– Nie chciałam pani zwracać głowy. Przecież wcale go nie znalazłam. Przynajmniej nie tak naprawdę. Cały czas był nieprzytomny.

Kapitan wzdycha, co brzmi jak sygnał ostrzegawczy maszyny parowej.

– Przestań.

– Oczywiście.

– Dzięki Bogu, Struhmeller miał na tyle oleju w głowie, że powiedział mi o pogrzebie, bo byłabyś ugotowana.

– Tak. – Janie traci apetyt. – Przepraszam.

– Dobrze. A teraz, porozmawiajmy o twoim ojcu. On też był łowcą snów?

Janie jest zaskoczona.

– Skąd pani wie?

– Powiedziałaś to na pogrzebie. Między wierszami. Mówiłaś, że miał pewne problemy, których ludzie nie rozumieją, ale ty wiesz, czy coś takiego. Nikt by się nie domyślił, o czym mówisz.

Janie kiwa głową.

– Wcale nie chciałam o tym mówić, ale tak wyszło. Tak, ojciec mieszkał na kompletnym odludziu i był łowcą snów.

213

– Aha, na odludziu. Coś, o czym ty też myślisz. Nic dziwnego, że go nie znaleźliśmy – mówi Kapitan. – Jak się o tym dowiedziałaś?

– Byłam w jego snach.

– Och?

– Tak. Dowiedziałam się wielu niezwykle ciekawych rzeczy.

– Nie wątpię. A jak poznałaś tę babkę z UPS, panno Hannagan? Trochę to dziwne. Nigdy nie rozmawiałaś z ojcem, a z tego, co mówiłaś na pogrzebie, wynika, że rozmawiałaś już z tą babeczką w brązowym mundurku. – Kapitan bierze kolejny kęs. – A co tam masz na palcu? Wygląda jak pierścionek klasowy z lat osiemdziesiątych. Nie odpowiadaj.

Janie się uśmiecha. Czuje wyraźnie, że oblewa się rumieńcem.

– Oczywiście.

– Niezły z ciebie detektyw, nawet jeśli nie masz żadnego zadania.

– Na to wygląda.

– Podjęłaś już decyzję?

Janie odkłada widelec.

– A o tym – mówi ze zmartwioną miną. – Ja...

Kapitan patrzy jej w oczy. Nie mówi.

– Miałam zamiar... To znaczy, podjęłam już decyzję.

– Janie mówi z ogromnym trudem.

Kapitan nie spuszcza z niej wzroku.

– Ale okazuje się, że nic z tego nie wyjdzie.

214

Kapitan pochyla się do przodu.

– Powiedz mi – rozkazuje, w jej tonie słychać starość. – No dalej.

Janie jest zmieszana.

– Co?

– Wyduś to z siebie, na litość boską. Powiedz mi, co się dzieje w twojej tajemniczej główce. Nie musisz wszystkiego w sobie tłamsić. Potrafię niezłe słuchać. Naprawdę.

– Co? – powtarza Janie. Wciąż jest skolowana. – Ja tylko...

Kapitan kiwa zachęcająco głową.

– No dobra. Dowiedziałam się, że Martha Stubin się myliła. Muszę wybrać coś innego. Czeka mnie to, co ją albo to, co spotkało mojego ojca. On się odciął od życia. I jego mózg eksplodował.

Kapitan unosi do góry brwi.

– Eksplodował? To jakieś medyczne określenie?

Janie się śmieje.

– Niezupełnie.

– Co jeszcze? – pyta łagodnie.

– Więc chyba zostanę w domu. I najprawdopodobniej pójdę do szkoły, tak jak to planowałam. To znaczy nie mam innego wyboru. Albo stracę wzrok i zostanę kaleką w wieku dwudziestu paru lat, albo moja głowa nie wytrzyma, gdy będę zbliżała się do czterdziestki. Co by pani wybrała? Chyba ze względu na Cabe'a wolę już być ślepa i kaleka. Jeżeli tylko on będzie

215

w stanie sobie z tym poradzić. – Janie wciąż pamięta jego sny.

– Czy on o tym wie? Cokolwiek?

– Eee... Nie.

– Wiesz, co zawsze ci powtarzam?

– Pogadaj z nim. Tak, wiem.

– To zrób to!

– Dobra, już dobra. – Janie się uśmiecha.

– A jak już dojdiesz do siebie po wydarzeniach z tego tygodnia i zaczniesz przyzwyczajać się do myśli o szkole, a wierz mi, że tak będzie, porozmawiamy o tobie i twojej pracy. W porządku?

– Jasne. – Janie wzdycha. Co za ulga.

Sprzątają resztki jedzenia.

– Aha, zanim pójdziesz – mówi Kapitan, podjeżdżając na krześle do szafki. Otwiera środkową szufladę.

– Mam tu coś dla ciebie. Jeśli uznasz, że nie jest ci potrzebne, wyrzuc to. Nie obrażę się.

Wyciąga z segregatora pomarańczową kartkę, składa ją i podaje Janie. Wstaje i odprowadza ją do drzwi.

– Jeśli będziesz chciała o tym pogadać, wiesz gdzie mnie szukać. Jesteśmy rodziną. Nie zapominaj o tym.

– Okej. – Janie bierze karteczkę i się uśmiecha. – Dziękuję za lunch. I za wszystko.

Kieruje się w stronę drzwi.

– Nie ma za co. A teraz przestań zawracać mi głowę. – Kapitan patrzy, jak Janie odchodzi.

216

– Taaaak – krzyczy Janie, zbiegając po schodach na ulicę.

Jedną trudną rozmowę ma już z głowy. Idzie na przystanek. Rozkłada kartkę, mruży oczy i czyta.

Powoli składa kartkę i w zamyśleniu wkłada ją do kieszeni.

Godzina 13.43

Jedzie autobusem i wysiada na swoim przystanku. Tego popołudnia nikt nie śpi.

Idzie do Cabela.

Tym razem chłopak maluje drzwi od garażu.

Janie staje na trawniku przy podjeździe i obserwuje go uważnie.

Myśli o tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni. O podróży, jaką odbyła. O wzlotach i upadkach.

Myślała, że będzie musiała się z nim pożegnać.

Na zawsze.

A teraz nie musi.

Powinna być szczęśliwa.

Ale pozostaje jeszcze sprawa jego snów.

Chrząka.

Cabel się nie odwraca.

217

– Co tak cicho? – pyta. – Nie byłem pewien, ile czasu będziesz jeszcze tak stała.

Janie zagryza usta.

Wsuwa ręce do kieszeni.

Cabel się odwraca. Policzki ma ubrudzone farbą. Patrzy na nią łagodnie, mrużąc oczy.

– Co jest? Wszystko w porządku?

Janie nie rusza się z miejsca.

Próbuje opanować drżenie.

Cabel widzi to i odkłada pędzel.

Podchodzi do niej.

– Och, kotku – mówi, przyciągając ją do siebie. – Co się dzieje?

Gładzi ją po włosach, a ona płacze na jego ramieniu.

Godzina 14.15

Siedzą na trawie w cieniu drzewa. Rozmawiają.

O jego koszmarach.

O jej przyszłości.

Bardzo, bardzo długo.

Godzina 16.29

To wszystko jest takie skomplikowane.

Z Janie zawsze tak jest.

218

Janie nie ma pojęcia, co wydarzy się w przyszłości, niezależnie od tego, jak bardzo próbuje sobie to wyobrazić. I nieważne, że Cabel przekonuje ją, że nie miał pojęcia o swoich snach i przyznaje, że jest trochę przestraszony. Ale trzeba przyznać, że bardzo się stara.

Nieważne, że obiecują sobie, że gdy wydarzy się coś złego, będą o tym rozmawiać. Bo na pewno coś się wydarzy.

W bajce Janie nie ma szczęśliwego zakończenia.

Ale oboje wiedzą, że coś jest. Coś dobrego między nimi.

Jest szacunek.

Jest głębia.

Bezinteresowność.

I porozumienie, które przewyższa wszystko inne.

No i miłość.

Podjęmują więc decyzję. Że każdego dnia będą decydować, co dalej.

Żadnych zobowiązań. Żadnych wielkich planów. Samo życie, dzień po dniu.

Powoli będą szli do przodu. Bez przymusu.

I tak wszędzie wokół jest wystarczająco dużo naciśków.

Na pewno im się uda.

219

Głęboko w środku Janie wie jedno.
Wie o tym dobrze.

Jest jedynym facetem, któremu o tym powie.

Jest, jak jest

Godzina 17.25. Nadal ostatni dzień

– Hej, możesz mnie wieczorem gdzieś podzucić? – Janie ma zaróżwione policzki i malinkę na szyi. Sami się domyślcie.

– Jasne. Gdzie?

– Gdzieś na North Maple.

Cabel przechyla głowę, ale o nic nie pyta.

Wie, że i tak mu nie powie.

Uśmiecha się do siebie i kręci głowę. Idzie do kuchni przygotować obiad.

– Boże, kocham cię jak wariat – mruczy.

221

Godzina 18.56

Cabel parkuje przed budynkiem. Janie wygląda przez okno i sprawdza coś na pomarańczowej kartce.

– Tak, to tutaj. – Jest zdenerwowana. Nie wie, czy chce tam iść. – Możesz jeszcze poczekać jakieś pięć minut, na wypadek gdyby okazało się niefajnie?

– Jasne, skarbie. Gdyby mnie nie było, jak wyjdiesz, napisz SMS. Zaraz wrócę. – Dla otuchy ścisła jej kolano i całuje w policzek. – Będę pewnie w jakiejś księgarni. Może pojeżdżę po kampusie i trochę się rozejrzę.

– Dobra. – Janie bierze głęboki wdech i wysiada z samochodu. – Na razie.

Zdeterminowana idzie do drzwi. Nie ogląda się za siebie. Nie widzi, jak Cabel bierze do rąk pomarańczową kartkę. Czyta. Uśmiecha się.

Godzina 19:01

Grupka ludzi krąży po sali, popijając kawę i rozmawiając. Głównie dorośli, ale jest też parę osób mniej więcej w jej wieku. Janie wchodzi do środka. Dziwnie się czuje, nie wie, gdzie ma stanąć. Powoli idzie pod ścianę i rozgląda się po sali. Na jej twarzy pojawia się sztuczny uśmiech i stara się unikać kontaktu wzrokowego.

– Witaj. – Podchodzi do niej krępy mężczyzna w średnim wieku. – Nazywam się Luciano.

Podaje jej rękę.

Janie podaje swoją. Witają się.

– Cześć – mówi.

– Cieszę się, że przyszedłaś. Byłaś już kiedyś na spotkaniu Al-Anon?

– Nie... To mój pierwszy raz.

– Nie martw się. Wszyscy mamy coś wspólnego. Dobra, pora zaczynać.

Luciano odwraca się do zgromadzonych ludzi i prosi każdego, by zajął miejsce przy stole. Janie również siada, a jakiś młody mężczyzna proponuje jej kawę. Janie uśmiecha się z wdzięcznością i bierze od niego kubek, dodając trzy śmietanki i trzy łyżeczki cukru.

Grupa milknie, a Luciano zaczyna mówić.

– Witam na spotkaniu AA. Tym, którzy są tu po raz pierwszy, wyjaśnię, że jesteśmy grupą wsparcia dla ludzi, którzy walczą ze skutkami życia z alkoholikiem. – Patrzy na młodego mężczyznę siedzącego naprzeciwko. – Carl, chciałbyś poprowadzić dzisiejsze spotkanie?

Janie uważnie słucha siedzącej przy stole kobiety, która opowiada o agresywnym ojcu alkoholiku. Potem Carl prowadzi dyskusję o jednym z dwunastu kroków. Dobrze wiedzieć, że nie jest sama.

I że natóg Dorothei nie jest jej winą.

Po spotkaniu Janie bierze z półki trochę materiałów. Wymyka się z sali i pisze do Cabela. Wychodzi na zewnątrz, gdzie ogarnia ją chłodne wieczorne powietrze.

222

223

Myśli. Zaczyna rozumieć różne rzeczy o matce. Po raz pierwszy w życiu czuje, że zdjęto z niej ciężar i odpowiedzialność. To naprawdę świetne uczucie.

Zastanawia się, dlaczego nie wpadła na to wcześniej.

Godzina 20.31

Krążą po kampusie Uniwersytetu Michigan. Najpierw samochodem, potem pieszo. Chodzą po parkach i wokół rozmaitych budynków. Cabel pokazuje jej, gdzie co jest i jak się tam dostać. Dziwnie się czują, zwiedzając kampus tak wielkiej uczelni. To trochę zabawne i przytłaczające, jakby brali udział w jakiejś przygodzie. Niedługo staną się częścią tego wszystkiego.

Wpadają na lody do Stucchi's i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu się śmieją.

Cabel odwozi Janie do domu, a ona słodko go całuje i mocno przytula.

– Jestem szczęśliwa, że wszystko sobie wyjaśniliśmy – mówi.

– Ja też – odpowiada Cabel. – Więc jutro – zaczyna niechętnie.

– Tak?

– Potrzebuję trochę rzeczy do szkoły. Pewnie będę tego żałował, ale chyba powinniśmy wybrać się na zakupy.

Janie się uśmiecha.

– Kochanie – mówi – wezmę jakiś widelec, na wypadek gdybyś nie dawał już rady i miał ochotę wydukać sobie oczy.

Cabel się śmieje.

– Byłoby zabawnie, gdybym stracił wzrok przed tobą, co?

Śmieją się cierpko. Całują długo, ze smutkiem.

Godzina 23.05

Cabel odjeżdża, a Janie powolnym krokiem rusza w kierunku domu i siada na schodkach. Rozmyśla o różnych sprawach.

O tym, jak Cabel przywiózł ją do domu na swojej deskorolce.

O pani Stubin, i o tym, że nie miała okazji pożegnać się z nią. Jest wdzięczna za kartkę zostawioną na krześle.

Gdy myśli o Kapitanie, oczy zachodzą jej łzami. Rodzina.

Dobrze jest mieć taką rodzinę.

Janie bawi się pierścionkiem Henry'ego, w którym odbija się światło z ulicznej latarni. Rubin się błyszczy. Zaciska dłoń w pięść. Przyciska pierścionek do ust. A później podnosi go do nieba. Mówi:

– Cześć, Henry... – I urywa, bo gardło odmawia jej posłuszeństwa.

Janie słucha ciekawie świerczy i rechotania żab, a może to szum przewodów wysokiego napięcia. Ostatnie dni lata. Za chwilę znowu będzie słyszeć szelest liści.

Myśli o matce, ale w zupełnie inny sposób. Inaczej. Zamierza wybrać się na kolejne spotkanie AA. Może kiedyś i ona opowie swoją historię. Jeśli będzie miała ochotę. Albo nie. Żadnych pochopnych decyzji. Żadnych poważnych zobowiązań. Powoli, dzień po dniu.

Janie głęboko oddycha i czuje, jak jej płuca wypełniają się świeżym, wieczornym powietrzem. Jeszcze przez chwilę siedzi na schodach, a potem wstaje i zagląda do środka przez kuchenne okno. Przyciska twarz do zaskurzonej szyby i zakrywa ręką okulary, żeby przesłonić światło z latarni. Delikatne strumienie światła ukośnie przecinają kuchnię.

Pudełko wspomnień zniknęło.

Tak jak i ciasto.

Janie śmieje się cicho, ale czuje ból. Przez chwilę zapomniiała o wszystkich problemach. A teraz znowu tu jest i będzie jeszcze przez jakiś czas.

Trudno się tym ekscytować.

Ale życie toczy się dalej.

Wszystko zmierza w jakimś kierunku. Takim lub innym. Związki, zdolności, choroby, niepełnosprawność. Wiedza.

Szkoła. Nowe życie, gdzie prawie nikt nie będzie jej znał. Gdzie niewiele będzie nazywać ją tajną agentką. Ale wielu będzie śnić.

Wzdycha.

Dzień po dniu. Sen za snem.

Dokonała wyboru. Na teraz. Na dzisiaj.

To jest to, szepcze do brzęczących kabli.

Chłodny wieczór zapowiada zbliżającą się jesień. Janie pociera gołe, pokryte gęsią skórka ramiona.

Jest wykończona tym całym rozmyślaniem. Cicho wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Zsuwa buty i rzuca plecak na kanapę. Ale zanim powie dobranoc, musi zrobić jeszcze jedną rzecz.

Bosymi stopami stąpa po ciemnym korytarzu.

I zatrzymuje się przed wrotami do innego świata.

Jest jeszcze jeden smutny sen, który musi zmienić.